

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



S
(19a) 1999

O II wojnie światowej · Gen. Rudnicki we Lwowie 1939
i w Rosji 1942 · Druga rozmowa z O. Adamem · O Kazach-
stanie opowiada siostrzenica T. Sendzimira · W mieście, na
wsi, w więzieniu · O Chruszczowie i złotej papierošnicy ·
Wspominamy dyr. Bobrowskiego · Sylwetki · Słownik

Dla pamięci

Ten numer, już drugi „S” – *specjalny (czy nadzwyczajny)* – poświęcamy w większości II wojnie światowej. Moment stosowny, bo to okrągła rocznica, już sześćdziesiąta. 60 lat od tamtego 1 września i od tamtego 17 września. 60 lat temu wyrócił się stary świat, choć wtedy mało kto zdawał sobie z tego sprawę, nie tylko w Polsce. Ale kiedy się narodził nowy? Upadły złowrogie imperia, na szczęście krótkotrwałe (w skali historii, bo w skali życia ludzkiego aż nadto długotrwałe), lecz skutki pozostały. Druga wojna, wszechogarniająca, tylko z pozoru pozostawiła kilka miejsc na świecie w spokoju. Po latach i tam dotarły (i dalej docierają) jej odpryski, czasem spóźnione o lat pędziesiąt, i jakby niezależne. Po dziesięcioleciach to tu, to tam kwestionuje się porządek, jaki zafundowali światu mędrcy wszech czasów na pewnym słonecznym półwyspie na krańcu Europy. Najpierw więc była Korea, potem Wietnam. Arabowie contra Izrael, czy odwrotnie. Postkolonialne rzezie w Afryce. Rozpad Związku Sowieckiego. Czeczenia. Już dwa razy dała o sobie znać b. Jugosławia, a ostatnio zgłosił się Timor. Kto następny? Pax anglo-americano-russica nie okazała się trwała. Nowy świat się jeszcze nie narodził.

Ale wracając do bieżącego numeru: staramy się na tę straszną wojnę, na rozmaite jej przejawy – związane głównie ze Lwowem i Małopolską Wschodnią, a także z Krakowem – spojrzeć z kilku stron. Czytamy więc dramatyczny – ostatni – rozkaz dowódcy obrony Lwowa do swoich żołnierzy. Oczami innego wysokiego oficera, a także oczami młodej kobiety patrzymy na Lwów okupowany. Poznajemy tragiczny los ostatniego przedwojennego prezydenta Krakowa, który – spełniwszy obowiązek – ginie. Z drugiej strony mogą nas zabawić perypetie hardego chłopaka z bolszewikami – po tylu dziesiątkach lat stać nas na taki *luz*, tym bardziej że skończyło się szczęśliwie. Mniej zabawna była wywózka do Kazachstanu, przeżywana przez dziewczynkę, która musi szybko dojrzeć do nowych, nienormalnych warunków. W tamte azjatyckie strony trafia też wspomniany wyższy oficer, by – na przekór sowieckiemu *wymiarowi sprawiedliwości* – współtworzyć polską armię. Tę armię, która będzie zdobywać Monte Cassino – rozmawiamy o tym z jej kapelanem.

Młoda dziewczyna żegna Lwów. Czy na pewno na zawsze? Czterej bracia z Kamionki Strumiłowej budują po wojnie swoje nowe życie za oceanem. Ich urodzone tam dzieci przyjeżdżają do Polski.

Wychodzimy też poza ścisłe ramy II wojny. Najpierw wstecz: czytamy o szkołach kadetów II RP i o Ułanach Jazłowieckich. Jedni i drudzy zapiszą piękne karty w tej wojnie. I o kilkadziesiąt lat wprzód: wspominamy tego, który pierwszy ośmielił się bronić Obrońców I i II wojny. Dziś ma wspaniałych następców – czy przypuszczał, że po kilku latach pod pewnymi względami im może być jeszcze trudniej niż Jemu?

Nie zapomnieliśmy o profesorach lwowskich, zamordowanych na Wulce. Ale za parę miesięcy przypada 60. rocznica tej zbrodni, więc wtedy do tego wrócimy.

Książki, które w tym numerze omawiamy (strasznie ich dużo, ale to dobrze, prawda?) też dotyczą walk, wojen, obron. Warto o nich przynajmniej wiedzieć, jeśli nie da się wszystkich przeczytać. A szkoda!

Za to nasz słownik odbiega od głównego tematu. Poświęciliśmy go samemu Lwowowi. Ale ponieważ zamieszczenie całej geografii i historii miasta byłoby raczej na naszych skromnych łamach trudne (!), podajemy tylko krótki zarys jego rozwoju i ustroju. Omawiamy też kilka lwowskich dzielnic i ciekawych fragmentów dawnego miasta. W następnym numerze uzupełnimy tę serię lwowskich i podlwowskich haseł.

Z pozdrowieniami

Redakcja

FELIETON O WOJNIE

Wojna. We wszystkich opracowaniach historycznych czytamy o wojnie jako o zabiegach dyplomatycznych, ruchach wojsk, zakulisowych naradach, układach takich i siakich, i jeszcze o generałach, dowódcach i o wszystkich możliwościach zwycięstw i klęsk. A dla nas? Dla ludzi naszego pokolenia? Sześćdziesiąt lat temu zamiast iść do szkoły, poszliśmy na wojnę. Ile mieliśmy wtedy lat? Tak mniej więcej między początkiem życia, a – co najwyżej – 15-16. Naszą szkołą stały się nocne ucieczki, samoloty, z których do nas strzelano, przemarsze wojsk, przed którymi trzeba było uciekać. Dorośli okazali się równie bezradni, jak my – dzieci, a może jeszcze bardziej. Bo ich bezradność wobec katastrofy była świadoma.

Pierwszym zabitym z karabinu maszynowego z samolotu, którego zobaczyłam, był chłop orzący pole. A potem? Spalone wsie, beładna ucieczka. W rowach porzucone wozy i samochody, i bagaże, których już nie dało się unieść. I potem ten dzień, który przypieczętował ostatecznie klęskę, kiedy na drogach pojawiły się czołgi z czerwonymi gwiazdami, i już nawet nie było gdzie i po co uciekać. Ten „nóż w plecy” to był nóż wbity w plecy każdego z nas. Nagle, gdziekolwiek byśmy się znaleźli, czyhały na nas wywózki i obozy koncentracyjne, a nadzieja na powrót do normalności coraz bardziej oddalała się i bladła. Gdzieś tam na frontach toczyły się bitwy, ale nasz los został określony poza polami bitew.

Może dlatego przechowujemy w pamięci, jak najdroższy skarb, parę lat dzieciństwa. A wspomnień nikt nam przecież zabrać nie może.

Barbara Czałczyńska



A_{pel} P_{isarki}

Przygotowuję biografię poety Zbigniewa Herberta. Poszukuję osób, które go znały, zwłaszcza ze Lwowa i z Krakowa lat powojennych (1944–1948), a także wszelkich związanych z Nim świadectw (dokumentów, fotografii, listów). Wiadomości proszę kierować na adres:

Joanna Siedlecka
01-678 Warszawa
ul. E. Stachury 3
tel. (022) 833 84 02



Pomnik Pomordowanych na Wschodzie, Warszawa

NA POLSKIM SZLAKU

KLEMENS RUDNICKI

Gen. Klemens Rudnicki (jeszcze jako pułkownik; patrz notka biograficzna na końcu) po zakończeniu działań wojennych we wrześniu 1939 r. znalazł się w niemieckiej niewoli pod Warszawą, uciekł z niej jednak, by podjąć próbę przejścia przez Węgry do Francji, do tworzącego się nowego wojska pol-

skiego. Pierwszym etapem miał być Lwów, do którego przedostał się „przez zieloną granicę”. Rachuby jednak okazały się fałszywe – na zachód dostał się dopiero po kilku latach. Po drodze będzie sowieckie więzienie i łagier...

Oto fragment wspomnień gen. Rudnickiego* z krótkiego pobytu we Lwowie.

WE LWOWIE I PO SOWIECKIEJ STRONIE

Jest wprost nie do wiary, jak można wygląd miasta w ciągu półtora miesiąca zupełnie odmienić. To już nie pogodny, piękny, zachodni Lwów, ale coś, przeciwko czemu wszystko się w człowieku burzy. Niby ten sam, zniszczeń wojennych żadnych, a jednak inny – Azja. Na ulicach i gmachach ogromne transparenty z hasłami propagandowymi w rodzaju: *Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się* itp. Ogromne portrety Lenina i Stalina uśmiechają się do przechodniów, głośniki bez przerwy ryczą muzyką lub przemówieniami. Na Wałach Hetmańskich obok Sobieskiego stanął ogromny pomnik –

gloryfikacja Związku Radzieckiego – z drzewa oklejonego betonem.

Wśród tego zgiełku i brudu krążą – po tzw. Corsie – tłumy publiczności, której wygląd jest jednak zupełnie inny aniżeli dawniej. To nie jest nawet jakieś przesunięcie aż na Akademicką spacerowiczów, którzy przedtem sięgali co najwyżej do pasażu Mikołasza, ale wygląda to na najazd na plac Mariacki i okolicę zupełnie obcych ludzi. Jakies typy „aktywistów” przeważnie o rysach semickich, pozujących ubiorem na pracomysłnych komunistów lub niebieskich ptaków, przemieszane z żołnierzami sowieckimi – krążą i handlują na każdym rogu, sam zaś Pasaż Mikołasza to jedno targowi-

sko. Można tam wszystko kupić i sprzedać. Zegarki, używane ubrania, bieliznę obuwie, wódkę i inne cenne i nie znane w takiej ilości przedmioty dla ludzi sowieckich. Kupcami głównie są oficerowie i żołnierze sowieccy, a pośrednikami i sprzedającymi przygodni handlarze lub męty lwowskie. „Sowieci” kupują wszystko, od damskiej bielizny i innych części garderoby, aż po łyżki, widelce czy latarki elektryczne. Największym popytem cieszą się zegarki, a jeśli który ma wskazówki świecące, a do tego czarną tarczę – płacą każdą cenę. Sprzedaż takiego zegarka nie jest jednak prostą operacją. Amator na kupno wyciąga z kieszeni nóż, otwiera wieko i żąda pokazania kamieni. Sprzedający zapewnia go, że jest ich co najmniej piętnaście (musi być koniecznie nie mniej, kupujący udaje znawcę), przy czym obydwaj liczą z całą powagą to, czego nie widać. W wypadku wątpliwym woła się świadków – sprzedający ma pomocników, a kupujący wzywa kolegów-krasnoarmiejców. Tworzy się grupa, zegarek idzie coraz to pod inny nóż i pod inne ucho, a w wypadku wątpliwym rozstrzyga oświadczenie sprzedawcy, że zegarek jest marki „Suma” (Cyma), jak to się czyta po rosyjsku. To wszystkich zadowala i transakcja załatwiona.

Obok tego Lwowa wschodniego jest i inny, dawny, ale głęboko schowany, drżący i ściśnięty w dawnych mieszkaniach, do których sprowadzają się bolszewicy, często z rodzinami, jako sublokatorzy bezpłatni. Wszystko to idzie niby grzecznie i po dobrej woli, ale jest prawie nie do zniesienia.

Nikt się jeszcze nie orientuje, czym to grozi, i wydaje się raczej dziecinnie naiwne i mało niebezpieczne. Panuje ogólne przekonanie, iż coś tak głupiego i niezaradnego, jakimi przedstawiają się bolszewicy i ich władze, nie może trwać długo i samo przez się wywróci się. Nawet to, że od czasu do czasu ktoś ze znajomych zostaje aresztowany i znika za murami więzienia – nikogo za bardzo nie przeraża. Aresztowania wydają się być zupełnie przypadkowe, a nawet zrozumiałe w tak ogólnym bałaganie. Wiadomości od uwięzionych wprowadzie nie ma, ale ogólnie krążą pogłoski, że powodzi się im dobrze i niedługo będą wypuszczeni, trzeba tylko sprawdzić, a to musi przecież potrwąć.

Cały Lwów jest na ogół zaskoczony zetknięciem się z bolszewikami. Wyobrażali ich sobie jako „strasznych mścicieli gnębionego proletariatu”. Spodziewano się mordów i grabieży brutalnej, torturowania inteligencji lub innych objawów rewolucji 1917 roku.

Zamiast tego jest inwazja naiwnych Azjatów, których można nawet bezkarnie zwymyślać, na pierwszy rzut oka niegroźnych i głupich, i niezaradnych. Nawet władze są śmieszne i poza wprowadzeniem niezwykle wprost nieporządku we wszystkie dziedziny – nikt poważnie nie chce tego wziąć. Mało kto domyślał się w tym wszystkim strasznego systemu, który powoli i skutecznie zmieni życie w koszmar.

Odbывают się właśnie wybory, które mają zadokumentować wolę mieszkańców „Zapadnoj Ukrainy” entuzjastycznego przyłączenia się do Związku Radzieckiego. Wybory są na papierze tajne, faktycznie są jednak jawne, i jest i tak tylko jedna lista, na którą się głosuje, więc po co ta komedia. Oczywiście jeszcze jeden objaw dziecinady – rozumują ludzie – i tak to nieważne. Idą więc głosować dla świętego spokoju, ażeby niepotrzebnie nie drażnić – tyle jest już donosicieli na wszystkie strony, że nie wiadomo, kogo się strzec, a kto jest pewny. Nawet Ukraińcy są zdezorientowani. Przyjechał z Kijowa Chruszczow i Kornijczuk, odbywają się wielkie „mitingi” ukraińskie, obchodzi się uroczystości przyłączenia ziem zachodnich do macierzy, ale w rzeczywistości wygląda to całkiem inaczej, aniżeli się tego spodziewali. Ukraina jest tylko na papierze, a naprawdę to już Rosja i kłamliwe wiernopoddane odezwy ludu „Zapadnoj Ukrainy” do ojca rodziny narodów sowieckich – Stalina.

W „Gońcu Lwowskim”, jedynej gazecie polskiej wychodzącej we Lwowie, donoszą o właśnie co odbyłym posiedzeniu polskich profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza, na którym jednomyślnie uchwalono wysłać hołdowniczą depeszę do Stalina. Depesza ma treść odrażającą swoim płaszczeniem się wschodnim. Podpisani są wszyscy prawie profesorowie. Spotykam dwóch z nich, H. i Longchamps. „Jakżeż mogliście coś takiego podpisać?” – pytam. „O zebraniu i o depeszy, i o tym, żeśmy ją podpisali, dowiedzieliśmy się także z gazety” – brzmiała ich odpowiedź. Są zresztą bezbronni. Nie

ma jak i gdzie sprostować. Czy zresztą w ogóle warto. Przecież to wszystko takie głupie i naiwne, że się szybko samo sobą zabije.

Takie mniej więcej jest ogólne nastawienie: byle wytrzymać – jako tako – do wiosny, a sen ten minie. To się, logicznie rozumując, ostać na dłuższy czas nie może.

W mieście jest wielu naszych wojskowych, częściowo takich, którzy uniknęli oficjalnego wzięcia do niewoli przez bolszewików, a częściowo przybyłych spod niemieckiej okupacji, ażeby tędy iść do Rumunii czy na Węgry.

Są tacy, którzy już byli w Skolem lub Zaleszczykach i, złapani na granicy, przesiedzieli się po kilka dni w więzieniu granicznym. Potem ich wypuszczono na wolność i wrócili. Będą próbować powtórnie lub wracać na stronę niemiecką. Żadnej organizacji, która by im pomogła, nie ma jeszcze. Jakieś zaledwie dorywcze kontakty i pomoce, głównie ze strony kolejarzy.

W szpitalach jest trochę naszych rannych. Między nimi gen. Anders, który jest na wyjątkowych prawach, bardzo honorowany przez bolszewików i pod opieką dobrych polskich lekarzy.

Chcę go odwiedzić, ażeby opowiedzieć mu o stosunkach na zachodzie, ale dostaję wiadomość z jego otoczenia, ażeby tego raczej nie robił. Poza tym dowiaduję się, iż 4 grudnia ma być odstawiony pociągiem do Przemyśla i oddany na niemiecką stronę, tak jak tego sobie życzy. Tam go więc znajdę po powrocie. Wiadomość ta cieszy mnie niepomniernie, gdyż osoba jego i nazwisko wydają mi się najodpowiedniejsze, ażeby skupić wysiłki wszystkich boczających się na siebie „entuzjastów”

Poza tym – tu i tam – spotykam ludzi czynnych, którzy widzą potrzebę utworzenia jakiejś organizacji. Czynnym jest głównie pułkownik Dąbrowski, ale wszystko to jest w załączku i nosi całkiem inny charakter niż po stronie niemieckiej.

Toteż wydaje mi się, iż niwiele więcej potrafię tu zobaczyć. Obraz, który ujrzałem, daje mi dość ogólny, ale wystarczający pogląd na to, co się dzieje. Postanowiłem wracać. Najpierw jednak sprowadzam z Trembowli jednego z moich podoficerów, wachm. P., który to wówczas z Warszawy poszedł z grupą ułanów na wschód i dotarł wraz z innymi do rodzin do Trembowli.



Opowiada, iż wszyscy szczęśliwie dobrnęli do domów. Rodziny z koszar powyrzucane, przeniosły się do miasta. Podoficerowie nie są specjalnie szykanowani i radzą sobie, jak mogą, część z nich już poszła do Rumunii, inni pozostali. Żony oficerów czują się znacznie gorzej. Poborowska rozpacza po mężu. Moja żona musiała wprost uciekać skrycie z jedną z córek i już jest we Lwowie, groziło jej aresztowanie jako żonie samego pułkownika. Gdy ją zresztą we Lwowie odnalazłem, opowiadała mi, że spotkała się ze wszystkich stron z ogromną pomocą w ułatwieniu jej ucieczki, zarówno ze strony podoficerów, jak i kolejarzy.

Opowiedziałem wachmistrzowi o losach tych, którzy poszli do obozów niemieckich, i poleciłem opiece podoficerów żony oficerskie, które innej opieki teraz mieć nie mogą. „Macie pomagać sobie wzajemnie, jak jedna rodzina, i wierzyć mocno, że zmiana nastąpi”... – kończyłem.

Potem, po naradzie z moją żoną, postanowiłem jeszcze skoczyć do Jazłowca, ażeby odwiedzić dwie starsze córki, które wojna zastała w klasztorze pod opieką zakonnic. Chciałem się zorientować, czy im co grozi bezpośrednio i czy ich przypadkiem stamtąd nie zabrać do matki.

Do Buczacza dobiełem bez trudności koleją przez Stanisławów. Pociąg przybył na stację jeszcze przed świtem, co było mi na rękę, gdyż mogłem od razu nająć „fiakra”

do Jazłowca (około 20 km). Nie chciałem ryzykować kręcenia się po Buczaczu za dnia, gdyż tak niedawno jeszcze – 15 sierpnia – wygłaszałem tam, z balkonu Magistratu, gorące przemówienie do ludności w Święto Żołnierza. Wolałem zniknąć od razu niespostrzeżenie.

W Jazłowcu, w owym szarym gontem krytym bastionie „kapłanek rycerskiego ducha” – radość niesamowita. Wszelkie przepisy o klauzurze zostały zawieszone i otoczony zakonnikami musiałem im opowiadać o wszystkim, co zaszło, o Warszawie, o wojnie, o nastrojach, a przede wszystkim o pułku i niedzielach jazłowieckich.

Zastanawiała mnie ich pogoda, wiara silna w dobry obrót sprawy i troska nie o siebie, ale o polską sprawę. Ze śmiechem opowiadały mi o inspekcjach bolszewickich w klasztorze i zapowiedziach likwidacji oraz o oporze całej ludności Jazłowca i okolicy, bez względu na wyznanie, stojącej w ich obronie wobec zakusów władz nowych. Zaufałem im i pozostawiłem im dzieci.

Gdy zmrok zapadł, odprowadziła mnie siostra Laureta, ta sama, która mówiła, że „huk musi być”, do bocznej furty klasztornej, którą miałem się wymknąć niepostrzeżenie. Szliśmy więc krzągankami we czwórce, moje dwie małe, uczeplone do boku, ona i ja. W pewnej chwili siostra Laureta schyliła się ku mnie.

„Panie pułkowniku, muszę panu coś powiedzieć, o coś się zapytać, ale to straszna tajemnica, dzieci nie mogą tego słyszeć”.

Doskonale – myślę – teraz wreszcie zejdziemy na ziemię Zapewne jakieś wątpliwości o losy klasztoru i przyszłość własną. A jednak ta pogoda beztroska była tylko maską, która kryje biedne i osaczone kobiety.

Zaciągnęła mnie do jakiejś pustej celi i prawie szeptem pytała: „Czy to prawda jest, że Rydz Śmigły i Beck zdradzili Polskę, że wokół was wszystkich były tylko zdrady i zdrady. Może to być?”

„Czy nic siostra innego nie ma mi do zwierzenia?” – pytałem. „Ależ naturalnie, że nie” – patrzyła swymi, jak jej szkaplerz na habicie, błękitnymi oczyma – „to jest przecież dla nas najważniejsza wiadomość”.

A gdy ją uspokoiłem, to jakby kamień spadł z serca – poweselała.

Dziwny ten klasztor na tatarskim szlaku! [...]

Gdy w Związku Sowieckim zaczęły się tworzyć Polskie Siły Zbrojne, płk Rudnicki został zwolniony z łagru i przydzielony przez gen. Andersa do 6. Dywizji Piechoty, tworzącej się w rejonie Samarkandy w Uzbekistanie. Oto drugi fragment wspomnień późniejszego generała, z 1942 r.

KŁOPOTY POLITYCZNE

Było zrozumiałe, iż w dywizji tkwił specjalny sentyment do Lwowa. Nie tylko Tomkarzewski i ja byliśmy silnie związani z tym miastem, ale również ogromny procent oficerów i szeregowych pochodziło z Małopolski Wschodniej i Lwów z jego tradycją „semper fidelis” był dla nas drogi. Powstał nawet osobny oddział – batalion „dzieci lwowskich”, złożony z samych lwowiaków, który specjalnie podkreślał tradycje polskiego Lwowa.

Nastawienie to nie podobało się naszym gospodarzom sowieckim. Najpierw delikatnie zwracali nam uwagę, iż jest ono nie na miejscu. Rozumiejmy wprawdzie przywiązanie dzielnicowe żołnierzy, ale najlepiej byłoby, gdybyśmy skierowali nasze afekty do jakiegoś innego miasta, niewątpliwie polskiego, a nie do Lwowa, który został już wcielony do Sowieckiej Ukrainy w 1939 roku itp. Tłumaczenie, iż akt zgody Państwa Polskiego na odstąpienie Lwowa Związkowi Sowieckiemu nie jest nam znany, był przyjmowany z pobłażliwym uśmiechem... „Możliwe... ale wola ludu... realna rzeczywistość... lepiej teraz nie wprowadzać dysonansów, mamy przecież wspólnego wroga i wspólne cele... później na pewno się pogodzimy” – były motywami wysuwanymi przez naszych sowieckich oficerów łącznikowych, pułkowników Anapczuka i Golinskiego.

Tego tylko trzeba było naszym żołnierzom. Nawet nie pochodzący ze Lwowa stali się zabitymi lwowiakami i stanęli jak mur w jego obronie. Na złość bolszewikom poczęły się mnożyć odruchy, mające zadokumentować polskość Lwowa i przywiązanie doń. Śpiewano tylko lwowskie piosenki, komponowano nowe, przed namiotami układano z kamyczków artystycznie wykonane herby Lwowa, rysowano

ostentacyjnie mapy Rzeczypospolitej ze Lwowem w jej granicach i nie szczędzono bolszewikom wielu, wielu innych drobnych manifestacji, których sensem było: „Lwów jest polski i nie damy go sobie zabrać”.

W miarę gdy demonstracje te narastały, rosła i reakcja sowiecka, coraz bardziej stanowcza i zdradzająca bez żadnych ogródek wolę Rosji zaanektowania Lwowa, po którym zresztą chadzali w danej chwili Niemcy. Rozgorzała więc zacięta „wojna ideologiczna” żołnierzy 6. dywizji ze Związkiem Sowieckim o przynależność Lwowa.

Dywizja wzięła sobie za punkt honoru Lwów obronić.

Ku wściekłości Anapczuka w walce tej wzięło udział również dowództwo dywizji. 2 maja 1942 r. ogłosił gen. Tokarzewski swoje pismo do Dowódcy Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR treści następującej:

Żołnierze 6. Dywizji Piechoty w swojej ciężkiej przeszłości wykazali bezkompromisowość, hart ducha i nieugiętą chęć dalszej walki. W celu kontynuowania oraz unacznienia symbolicznego tych zalet żołnierskich, proszę Pana Generała o nadanie 6. Dywizji Piechoty miana – Dywizji Lwów.

Ani słowa o mieście Lwowie. „L” było pisane przez małe „l” i oznaczało króla zwierząt, a nie miasto. Pismo to było więc nie do zaczepienia przez władze sowieckie, chociaż dobrze zdawały sobie sprawę, co za tym się kryje. Równocześnie jednak pismo to wywołało burzę entuzjazmu wśród żołnierzy, umocniło ich przekonania i podniosło „morale” oddziałów, którego tak bardzo było potrzeba, ażeby znaleźć siły na przetrwanie ciężkich warunków, jakie dywizję otaczały.

Ostatnim aktem sowieckim było przyśłanie do Szachrziabsu specjalnej komisji z Moskwy pod kierunkiem pułkownika Gorczakowa, oficjalnie dla zbadania gotowości bojowej dywizji, a faktycznie do zbadania nastrojów. Gorczakow, będąc w czasie inspekcji na przedstawieniu teatru dywizyjnego, zaprotestował gwałtownie przeciw piosence o polskim Lwowie, której mu oczywiście nie oszczędzono. Gdy mu jednak Tokarzewski kategorycznie oświadczył, iż premier polski gen. Sikorski nie zawiadomił dotychczas wojska o odstąpieniu Sowiecom Lwowa i wobec tego nie może zakazać piosenki – opuścił dywizję z trzas-

kiem i dano wreszcie spokój dalszym dyskusjom.

Uznano widocznie, że jesteśmy nie do uleczenia. Dywizja pozostała lwowską, ale za to wzmogła się szpiegowska akcja sowiecka wśród naszych szeregów. Teraz dopiero okazało się, jak wielu z naszych żołnierzy, nawet oficerów, podpisało lekomyślnie owe sławne deklaracje donosielskie, nie przyznając się do tego. Deklaracje te, dotychczas nie wykorzystywane, były w rękach Anapczuka i Golińskiego, którzy poczęli je eksploatować. Nieszczęśliwcy – szantażowani, zaczęli się zwierzać kolegom, potem swym dowódcom, kryć się, zmieniać nazwiska, przenosić się do innych garnizonów – słowem zacierać za sobą ślady. Nie obeszło się jednak przy tym bez znikania ludzi bez śladu.

Cicha walka, zewnętrznie pokrywana zwykłą uprzejmością, rozgorzała na dobre i mało było takich, którzy by mieli jeszcze złudzenie, iż jakkolwiek lojalna współpraca jest możliwa.

* Klemens Rudnicki, *Na polskim szlaku. Wspomnienia z lat 1939–1947*. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1990

KLEMENS RUDNICKI, (1897–1992) ur. w Żydaczowie. Służbę wojskową rozpoczął w 1914 r. w Legionie Wschodnim gen. Hallera we Lwowie. W latach 1918–20 walczył w 2. Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich przeciw Ukraińcom i bolszewikom. W okresie międzywojennym był słuchaczem i wykładowcą Wyższej Szkoły Wojskowej w Warszawie, a od 1938 r. dowódcą 9. Pułku Ułanów Małopolskich w Trembowli, z którym przeszedł kampanię wrześniową, walczył pod dowództwem gen. Kutrzeby, Skotnickiego i Abrahama. Dostał się do niewoli niemieckiej, a po ucieczce tworzył wraz z płk. T. Komorowskim (też rodem z Małopolski Wschodniej, późniejszym gen. Borem) zręby konspiracji wojskowej. Później przedostał się do Lwowa, gdzie został aresztowany i wywieziony do łagru. W 1941 r. dostał się do Armii Andersa i wyszedł z nią z ZSRR przez Iran i Palestynę. Uczestniczył w kampanii włoskiej 2. Korpusu. W latach 1945–47, już jako generał, był dowódcą 1. Dywizji Pancernej w Niemczech (po gen. Maczku). Po wojnie osiadł w Londynie i tam zmarł. Prochy złożono na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Władysław Psarski

O CHRUSZCZOWIE I ŻŁOTEJ PAPIEROŚNICY

Moja rodzina od wieków parała się rolnictwem, ale od czterech pokoleń również i przemysłem – za przyczyną mego pradziadka Wiktora Psarskiego, który jako oficer Powstania Listopadowego, musiał emigrować z zaboru rosyjskiego, by uniknąć wywózki na Sybir, a może i nawet szubienicy. Celem uniknięcia konfiskaty, przekazał bratu swój majątek Kraszkowice k. Wielunia i wyjechał do Paryża, gdzie w 1838 r. ukończył studia chemiczne w Ecole Centrale, zarabiając na życie grą na skrzypcach w operze.

Po jakiejś amnestii mógł wrócić do kraju, i już jako inżynier chemii wybudował jedno z pierwszych cukrowni w Polsce, w Borku i Rytwianach. Syn jego Władysław, również inżynier chemik, był dyrektorem kilku cukrowni, a w II Rzeczypospolitej – prezesem Cukrownictwa Polskiego. Wnukowie pokończyli politechniki i też pracowali w cukrownictwie, a mój ojciec, inż. mechanik – w nafcie w Boryslawiu. Podjął pracę w przemyśle naftowym w 1919 r., zaraz po ukończeniu politechniki lwowskiej i zawarciu małżeństwa. W ostatnich latach przedwojennych był jednym z dyrektorów firmy „Małopolska”, spółka akcyjna francuska.

Beztroskie dzieciństwo spędziłem więc z rodzicami i siostrą Ninką w Boryslawiu. Wybuch wojny przekreślił nadzieje spokojnego i pewnego życia rodzicom, tak jak i milionom innych obywateli naszego kraju, ale i dla mnie skończyły się radosne wyjazdy wakacyjne do Zacisza, Jeżowa, a zwłaszcza do Rzegocina, gdzie całymi dniami mogłem swobodnie biegać ze strzelbą po polach, lasach i zagajnikach.

Przedwojenny Boryslaw, stolica zagłębia naftowego Polski, liczył około 40 tysięcy mieszkańców, z czego duży procent składał się z Rusinów i Żydów. Polacy reprezentowali inteligencję przemysłową i władze miasta. Żydzi zdominowali handel i wolne zawody, a proletariata, czyli robotnicy fizyczni, to przeważnie Rusini z pobliskich wsi. Nawet szofera ojca, Stefan Kilikowski, był z po-

chodzenia Rusinem, który na trzy lata przed wybuchem wojny przyjął w pełni narodowość polską, i chwala mu za to, że nie wyparł się jej w czasie wojny, mimo że obaj okupanci znacznie lepiej traktowali Rusinów niż Polaków. Pamiętam, jak w 1940 r. wrócił spuchnięty z głodu po paromiesięcznym pobycie w więzieniu sowieckim.

Gdy wybuchła wojna, miałem 16 lat i nie bardzo zdawałem sobie sprawę z nieszczęścia, które spadło na nasz kraj, zwłaszcza, że pierwsze dni wojny 1939 r. w południowo-wschodniej Polsce były spokojne. Dopiero około 12 września, gdy wojska niemieckie przekroczyły San, ojciec z innymi dyrektorami przemysłu naftowego postanowił wyjechać z rodziną do Bitkowa, miejscowości położonej w pobliżu granicy węgierskiej. Z Boryslawia do Bitkowa nie było daleko, około 100 km, ale przez góry i bardzo złymi drogami, tak że naszym mercedesem jechaliśmy prawie cały dzień. Jechaliśmy we troje, to znaczy ojciec, Ninka i ja, bo matka oświadczyła, że z domu się nie ruszy. No i mieliśmy osiem waliz zapakowanych rzeczy, bo nie wiadomo, czy i kiedy wrócimy. Szofera naszego nie było, bo został wcześniej zmobilizowany.

W Bitkowie spotkaliśmy się z innymi luminarzami naftowymi i ich rodzinami, którzy, tak jak i my, [...] woleli być bliżej granicy węgierskiej czy rumuńskiej. [...], razem kilkanaście samochodów. Bitków został wybrany na to spotkanie, gdyż tam mieli swoje szyby naftowe, warsztaty naprawcze, rezydencje, a przede wszystkim paliwo do samochodów.

Na drugi dzień ojciec wyjechał z dyr. Wojciechowskim z powrotem do Boryslawia, z pieniędzmi na wypłatę dla robotników, [...] bo front się zatrzymał i Boryslaw był jeszcze wolny. Na trzeci dzień wrócił Wojciechowski bez ojca, ale za to z matką. Ojciec został w Boryslawiu, chcąc zabezpieczyć szyby i rafinerie przed sabotażem. Nie wyszło mu to na dobre, bo zaraz po odjeździe Wojciechowskiego Niemcy wkro-

czyli do Borysławia i ojciec został uwięziony jako zakładnik wraz z prezydentem miasta, proboszczem i innymi władzami. Szczęśliwie żadnemu żołnierzowi niemieckiemu krzywda się nie stała i po paru dniach, gdy Niemcy oddawali Sowiecom Borysław, zakładnicy zostali zwolnieni.

Ale tymczasem w Bitkowie, pod nieobecność ojca, doczekaliśmy się wkroczenia wojsk sowieckich w dniu 17 września i odjęcia nas od granic z Węgrami i Rumunią. W Bitkowie był nadal spokój, i ani Niemcy, ani Ruscy się nie pokazywali.

Pod koniec września wszyscy uciekinierzy borysławscy postanowili wracać do Borysławia. Utworzyła się kolumna samochodów, a droga wiodła przez Stryj, gdzie wjechaliśmy w kolumnę wojsk radzieckich. Zatrzymano nas, legitymowano z rozkazem oddania posiadanej broni. Matkę i siostrę z innymi paniami oddzielił, a ja zostałem sam z samochodem i ośmioma walizkami. W jednej z nich znajdował się *dryling*, ukochana broń myśliwska ojca, specjalnie dla niego zrobiona przez zakłady Kruppa. Nie oddałem go, ale podczas pobieżnej rewizji go znaleźli. Awantura wybuchła straszna. Zlecieli się oficerowie sowieccy, urągając mi okropnie i wszystkim innym Polakom, krzycząc, że gdybym nie był tak młody, toby mnie rozstrzelali.

Wszystkich nas zamknęli w pobliskiej szkole, obiecując, że na drugi dzień od rana zacznie się ścisła rewizja, bo ukrywamy broń. Panowie, koledzy ojca, również mi naurągali, że przeze mnie zostaliśmy wszyscy zatrzymani i nie wiadomo co będzie.

Spaliśmy w szkole na podłodze. Czy wszyscy spali? Nie wiem. Mnie prześladowała myśl, że w walizkach mam jeszcze kilka paczek naboju do nieszczęsnego *drylinga*, a wcześniej usprawiedliwiałem się, że *dryling* jest nieużyteczny, bo nie ma naboju. Wstałem więc w nocy, wyszukałem w walizce naboje i wsadziłem je do pieca. Nic innego wymyślić nie mogłem. Za drzwiami stał wartownik pilnujący nas. W piecu było trochę popiołu, gazet i niedopałków, zagrzebałem te naboje w śmieciach. Mam nadzieję, że Pan Bóg miał w opiece tego, który potem po raz pierwszy rozpałał ogień w tym piecu.

Na drugi dzień od rana rozpoczęła się rewizja polegająca na tym, że z każdej walizki wytrząsano rzeczy na podłogę i grzebano w nich. Pieniądze polskie i zagraniczne waluty spisywano i konfiskowano. Rewizja trwała cały dzień, a gdy przyszła na mnie kolej i gdy wtaszczyłem się do sali z ośmioma walizkami, wzbudziłem podziw



Autor w tamtych czasach

ilością bagażu. Sama rewizja przebiegła bez bólu, ale gdy z jednej z walizek wyleciała złota papierośnica ojca, to żołnierz sowiecki obejrzał ją i schował do kieszeni.

Po skończonej rewizji, już wieczorem, zebrano nas wszystkich w jednej sali i z przemówieniem wystąpił oficer polityczny w randze majora, Nikita Chruszczow – jak ładnie się nam przedstawił. Wtedy nie zwróciłem uwagi na to nazwisko, ale parę lat później, gdy został pierwszym sekretarzem KC KPZR, dyrektor Wojciechowski przypomniał mi, że to właśnie on był tym majorem, z którym spotkaliśmy się w Stryju na początku wojny. Miał też pokwitowanie z podpisem Chruszczowa za zarekwirowanie sportowego samochodu marki Stuz. Ja żadnego pokwitowania za pięknego 6-cylindrowego mercedesa nie dostałem.

Ale wracając do sprawy – major Nikita Chruszczow w przemówieniu do nas zwrócił uwagę, że jesteśmy panami, burżujami, krwiopijcami, a niektórym śni się kontrrewolucja i ukrywają broń, by później z nią wystąpić przeciw władzy ludowej. To ostatnie zdanie było skierowane specjalnie do mnie, ale ze względu na mój młody wiek, władza radziecka jest wspaniałomyślna i darowuje mi tę straszną zbrodnię.

Mówił po rusku (czyli po ukraińsku), który to język był dla nas wszystkich zrozumiały, jako że mieliśmy z nim do czynienia na co dzień. Na zakończenie swej oracji poinformował, że konfiskują nam samochody i waluty zagraniczne, bo tych rzeczy w Związku Sowieckim posiadać prywatnym osobom nie wolno, ale biżuterię i innych wyrobów jubilerskich – jako prywatnej własności – nam nie zabrano. Czy ktoś ma jakieś pytanie?

Mnie nurtowała przez cały czas sprawa papierośnicy, więc podnoszę dwa palce do góry (jak w szkole). Słyszę szepty kolegów ojca: – *Władek, uspokój się, schowaj rękę*. Ale już było za późno, moją wyciągniętą rękę dojrzał major i zapytał groźnym głosem: – *A ty czego jeszcze chcesz?* Więc wstałem i powiedziałem, że w czasie rewizji zabrano złotą papierośnicę ojca. Zapadło długie milczenie.

– *Kto ci zabrał?*

Pokazałem więc palcem na czerwonoarmistę stojącego w drzwiach, za którymi zaraz zniknął. Zaległo milczenie, tylko wi-

dać było uśmieszki oficerów, wściekłość Chruszczowa i słychać było cichy szept modlitwy *Pod Twoją obronę* siedzących obok mnie Polaków.

Myślę, że wybuch w piecu naboju, które tam schowałem, nie wywarłby większego wrażenia niż moja odpowiedź. Ja stałem w ławce z pewną miną, bo przecież mówiłem prawdę, co mi zawsze nakazywano w domu i szkole. Po dłuższej ciszy zrobiło się zamieszanie. Koledzy ojca wściekli się na mnie, myśląc, że to już koniec z nami. – *Gdzie są twoje rzeczy?* – padło pytanie. Odpowiedziałem, że w drugiej sali. – *Prowadź!* Wyszedłem z ławki i idę, za mną major i oficerowie. Gdy podeszliśmy do walizek, usłyszałem: – *Otwieraj!* Otworzyłem pierwszą z brzegu walizę i... zbaraniałem. Oczom nie wierzyłem – na samym wierzchu leży ojca złota papierośnica. Na pytanie: – *czy to ta?* – wydukałem, że – tttak. – *To wracamy!* – major pierwszy, za nim oficerowie, ja na końcu z całkiem ogłupiałą miną.

No i zaczęło się. Major rozpoczął dłuższe przemówienie od pytania, co ze mnie wyrośnie. A potem: – *Mało, że ukrywał broń i że nie chciał jej oddać, to jeszcze posądził żołnierza Armii Czerwonej o złodziejstwo. Jaki wstyd przynosi swojej rodzinie i całemu narodowi polskiemu...*

Stałem w ławce czerwony jak burak, nie zdając sobie zupełnie sprawy, jak ta papierośnica znalazła się w walizce – przecież widziałem na własne oczy, jak żołnierz chował ją do kieszeni. Nie śmiałem nic mówić (na szczęście!), a moją opuszczoną głową i skruszoną miną przepraszałem całą Armię Czerwoną i obecnych za tyle zamieszania, które narobiłem.

Jeszcze jedną noc spędziliśmy na podłodze w szkole, a następnego dnia, po połączeniu się z paniami, odesłano nas ciężarówkami wojskowymi do Borysławia. A przed samym wyjazdem, po załadowaniu walizek na ciężarówki, pobiegłem na zaplecze szkoły, by pożegnać się z mercedesem. Prawo jazdy amatorskie już wtedy miałem, a prowadzić samochód umiałem od dwunastego roku życia, gdy nogi na tyle mi urosły, że mogłem sięgnąć nimi pedałów. Smutno mi się zrobiło, gdy ujrzałem *kałmuka* siedzącego za kierownicą, który ze strasznym zgrzytem skrzyni biegów, próbował mercedesem jeździć po podwórku szkoły.

Gdy już wyjechaliśmy ciężarówkami ze Stryja, pan Wojciechowski, który pod nieobecność ojca próbował opiekować się mną, rozwiązał nurtujący mnie problem: to sam złodziej podrzucił papierośnicę do walizki w ostatniej chwili, gdy usłyszał, że jego kradzież wydała się, z czego zapewne Chruszczow i oficerowie doskonale zdawali sobie sprawę.

W Borysławiu radość była ze spotkania z ojcem i z powrotu do jeszcze względnie spokojnego domu. A ocalona papierośnica przydała się bardzo, bo jej sprzedaż umożliwiła naszej rodzinie jakie takie życie na pewien czas.

Tak zakończyło się pierwsze, ale niestety nie ostatnie, moje spotkanie z Armią Czerwoną.

To wszystko, co opisałem, jest prawdą, nie daję tylko gwarancji, że Nikita Chruszczow był tym właśnie majorem. Dyr. Włodzimierz Wojciechowski mówił mi w latach pięćdziesiątych, że ma pokwitowanie za swój samochód, z podpisem *Nikita Chruszczow*. Do rozstrzygnięcia tego problemu trzeba by historyka, który by zbadał, czy w 1939 r. Chruszczow brał udział jako oficer polityczny w najeździe wojsk sowieckich na południową Polskę?

WŁADYSŁAW PSARSKI, ur. 1925 w Borysławiu. Tamże do II wojny mieszkał i chodził do szkoły. Po wojnie ukończył szkołę inżynierską w Szczecinie. W latach 1951–82 pracował na kierowniczych stanowiskach w spółdzielczości na terenie Szczecina, jest ponadto dyplomowanym rzeczoznawcą techniki samochodowej i ruchu drogowego (wykonał kilka tysięcy ekspertyz). Od 1989 r. jest członkiem Polskiego Tow. Ziemiańskiego. Obecnie mieszka w Krakowie i Sulejowie.

Panu Władysławowi Psarskiemu składamy serdeczne wyrazy współczucia z powodu nagłej i przedwczesnej śmierci Żony.

Bożena Psarska z Nieniewskich, architekt, wywodziła się – po ojcu – z Ziemi Sieradzkiej, po matce – z Krakowa. Jednak Jej dziadek „po kądzieli”, dr Ludomił Korczyński (1867–1936), profesor medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim, pochodził z Małopolski Wschodniej, urodził się w Korczówce w pow. żydaczowskim. Był twórcą Szpitala Reumatologicznego przy al. Focha w Krakowie.

Z o. pułkownikiem Adamem Studzińskim

rozmawia

Janusz M. Paluch



W dziejach Polskich Sił Zbrojnych II wojny światowej zapisał się Ojciec Pułkownik jako kapelan spod Monte Cassino. To był najważniejszy moment w dziejach współczesnego oręża polskiego, w którym przyszło Ojcu uczestniczyć. Gdzie tak naprawdę rozpoczął się bojowy szlak Ojca?

Świadomie, w chwili wyjścia z Czortkowa we wrześniu 1939 roku.

Był to moment, na którym zakończyła się nasza pierwsza rozmowa opublikowana na łamach kwartalnika Cracovia Leopoldis (nr 3/96).

W Czortkowie miałem rozpocząć naukę religii w szkole. Dotarłem tam, mimo że wojna trwała już na dobre. Oczywiście w tych warunkach nigdy nie rozpocząłem tam pra-

cy. Ledwie się tam stawilem, już trzeba było uciekać. Zresztą przełożony, widząc co się święci, że to nie Niemcy, ale Sowieci wejdą do Czortkowa, zebrał nas razem i po wspólnej modlitwie powiedział, że teraz na własną rękę możemy działać, ukrywać się. Różnie mówi się o Polakach, ich zachowaniach w czasie wojny. Ja chciałbym powiedzieć kilka zdań o ich niesamowitej odpowiedzialności w tych pierwszych dniach II wojny światowej. Był bałagan, była panika – to prawda. Ale urzędnik państwowy do końca wypełniał swe obowiązki. Pamiętam dworzec kolejowy w Krakowie. Był zbombardowany. Ludzie nie byli wpuszczani na perony, ale kolejarze sprawdzający bilety przed wejściem i obecnie stali, gotowi do pełnienia powierzonych im obowiązków w każdej chwili. W Czortkowie było podobnie. Wieczorem 16 września do naszego klasztoru dotarła jakaś kobieta z wiadomością, że bolszewicy na Zbruczu stawiają mosty. Rozgorzała wówczas rozmowa na temat Rosji. Był z nami jakiś pułkownik. Uznaliśmy jednak, że to niemożliwe, aby Sowieci przygotowywali się do agresji na Polskę. Po pierwsze oni się nas bali. Po drugie – chyba nie bardzo dopuszczaliśmy myśli, że w takiej sytuacji mogą wbić nam nóż w plecy. A jednak tak się stało. I długo nie mogłem sobie wybaczyć, że tamtego wieczoru nie powiadomiłem nikogo o tym, co opowiadała nam owa kobieta. Uznaliśmy, że to kolejna niesprawdzona sensacja. Na drugi dzień o 5.00 rano dotarł do klasztoru goniec z informacją, że bolszewicy przekroczyli granicę i weszli na terytorium Polski. Od rana zaczął się ogromny ruch. Wszyscy uciekali. Ja postanowiłem sprawdzić tę informację, bo też chciałem uciekać tam, gdzie miała nastąpić koncentracja polskich wojsk, czyli w góry. Coraz bardziej bowiem uświadamiałem sobie, że moje miejsce jest przy wojsku. Udałem się do starostwa w Czortkowie. Cisza i pustka. Pozorna, bo na swoim stanowisku przy telefonie trwał przecież sekretarz starostwa. Trochę bezradny, osamotniony, ale był. Ponieważ chciałem się zorientować w sytuacji, dokąd już doszli bolszewicy, nakłoniłem go, by telefonował po wójtach. Zaczął dzwonić. Telefon każdego wójta odpowiadał. Oznaczało to, że urzędnicy trwali na swoich stanowiskach. Proszę sobie wy-

obrazić, iż w tamtym momencie tylko my dwaj wiedzieliśmy, co się dzieje w najbliższej okolicy. Około godziny 10.00 bolszewicy byli ok. 30 km od Czortkowa. W takiej sytuacji poradziłem sekretarzowi, żeby wypłacił ludziom pieniądze, które znajdowały się w kasie pancерnej starostwa. Zrobił to na szczęście. Inaczej pieniądze przejęliby Rosjanie, którzy po wkroczeniu do czortkowskiego starostwa pierwsze, o co pytali, to o sejf z pieniędzmi. Potem obciążało mnie to wobec bolszewików. Gdybym został, zabiliby mnie. Z tamtych dni do dziś pozostał mi ten podziw dla odpowiedzialności polskiego urzędnika. Wszystko działało do niedzieli 17 września 1939 roku. Takiego społeczeństwa, jak w tamtym czasie, długo mieć nie będziemy. To był efekt wychowywania społeczeństwa w duchu patriotyzmu i odpowiedzialności za losy Ojczyzny, młodego, zaledwie dwudziestoletniego państwa polskiego.

Rzadko spotyka się wypowiedane słowa tak dowartościowujące postawę społeczeństwa polskiego we wrześniu 1939 roku. Częściej padają gorzkie słowa, krytyczne uwagi na temat niezdolności i bałaganstwa. Ale to była wojna.

Tak, dzisiaj to takie proste się wydaje. Opisałem to wszystko w swej książce *Wspomnienia kapelana pułku 4 Pancernego „Skorpion” spod Monte Cassino*. Wracając jednak do mego zmierzania ku wojsku. Około południa w czortkowskim klasztorze przekazałem przełożonemu wszystkie swoje sprawy, i na rowerze pojechałem na zachód. W tym czasie w granice miasta wkraczali już bolszewicy. Czortków był pusty. Jakby zupełnie wyludniony. Niedaleko za miastem natrafiłem na jakiś zdezorientowany wycofujący się oddział polski. Dowódca nakazał mi użyczyć roweru żołnierzowi, który miał się udać na zwiad. Podejrzewałem, że oznacza to utratę najwygodniejszego w tamtym czasie środka lokomocji. Myślałem, że żołnierz najzwyczajniej pojedzie sobie do domu. Czekałem jednak cierpliwie z wojskiem na efekt tego zwiadu. Szeregowiec wrócił, zameldował przełożonemu o zaobserwowanej sytuacji. Oddano mi rower i mogłem pojechać dalej. To zdarzenie tylko umocniło we mnie wiarę, że Polska nie przestanie tak łatwo istnieć, i udałem się

w dalszą drogę w kierunku gór, na Buczacz, by na wysokości Stanisławowa przeprawić się przez Dniestr. W górach miała nastąpić koncentracja wojsk polskich, które tam zamierzały stawić zdecydowany opór Niemcom. Chciałem zatrzymać się w klasztorze w Niżniowie. Mieszkały tam żony oficerów. Do jednej z nich dotarł żołnierz z informacją od męża, że udają się do Lwowa, bo to miasto ma się bronić. Druga informacja była szokująca. Mówiła bowiem o wydanych przez Polaków rozkazach witania bolszewików! Dwa razy w tamtym czasie zetknąłem się z tą informacją przekazywaną przez zdeorientowanych żołnierzy polskich. To była bolszewicka prowokacja, która jednak przyniosła efekt. Od tego momentu znalazłem się bowiem w Jezupolu, w naszym klasztorze. Wędrowałem już wówczas w mundurze wojskowym. To był wyraz mojej determinacji, konieczności znalezienia się przy wojsku. Przełożony w Bohorodczanach, zobaczywszy mój mundur, przyjął mnie bardzo chłodno. Nakazano mi przebranie się w cywilne ubranie, a kolega poradził, by nie zwlekając udać się w dalszą drogę. Dzisiaj wiem, że dobrze zrobiłem słuchając go. Gdy wychodziłem z Bohorodczan, miejscowa ludność z kobiałkami pełnymi żywności szła witać bolszewików. To było smutne, bo byłem przecież w Polsce i nagle miejscowa ludność jakby wystąpiła przeciwko nam! Skierowałem się na Węgry. Po drodze spotkałem jakiś krakowski oddział ciągnący z sobą potężne działa z któregoś z fortów w Krakowie, które ani raz nie zostały użyte. Żołnierze nie wiedzieli, że zmierzają do granicy, po to, by ją przekroczyć. Gdy dowódca uzmysłowił sobie to, co się stało, nagle jakby go wola walki odeszła. Wypuścił nogi ze strzemion, głowa jakby weszła w ramiona. Zupełnie stracił postawę kawalerzysty, stracił poczucie pewności siebie. Dla niego to był dyshonor, że ciągnie tak dobrą broń, którą będzie musiał oddać bez jednego wystrzału. W Mikuliczynie zatrzymałem się u sióstr Notre Dame. Tam spotkałem oddział żołnierzy polskich, którzy z kolei szli od granicy węgierskiej i opowiadali, że Węgrzy żądają podpisywania przez żołnierzy deklaracji na zgodę na bezpłatną pracę na terytorium Węgier, ponieważ zaś nie chcieli tego robić, wracali z granicy. Potem okazało się, iż jest to informacja nieprawdziwa, rozsie-

wana wśród polskich żołnierzy przez ukraińskich prowokatorów, by Polacy porzucali broń przechwytywaną przez Ukraińców. Granicę przekroczyłem 19 września. Nagle znalazłem się na obcej ziemi. Uzmysłowiłem sobie, że nie mam Ojczyzny, nie mam się gdzie zatrzymać, że jestem uciekinierem. Węgrzy byli mili, serdecznie nam współczuli – ale nas to tylko drażniło.

Ale Ojciec się nie poddał i nie marnował czasu. Stał się Ojciec kapelanem wygnańców i internowanych.

Tak, rzeczywiście niemal od pierwszych chwil, jak znalazłem się na terytorium Węgier, trzeba było pomagać zagubionym i zrozpaczonemu Polakom. Dość szybko dotarłem jakimś transportem do Budapesztu. Tam zatrzymałem się w dominikańskim klasztorze. Gdy Ambasada Polska dowiedziała się, że jestem, skontaktowali się ze mną. Byłem chyba jednym z pierwszych duchownych, z którymi mieli kontakt. Wysyłali mnie po różnych obozach z mszą świętą, gdzie przebywali Polacy. Trzeba było rozmawiać z ludźmi, podtrzymywać ich na duchu. Pamiętam, dotarłem kiedyś do obozu, gdzie było zgromadzonych 500–600 policjantów ze Szkoły Policijnej w Mostach Wielkich. Ich żony pozostały w Polsce. Chcieli wracać do kraju. Na nic zdawały się tłumaczenia, że tam zostaną aresztowani i Bóg jeden wie, co może ich czekać. Wtedy, gdy mijał szok, wydawało się, że życie nawet w okupowanym kraju w jakiś sposób będzie się musiało unormować, do czasu kiedy nastąpi wyzwolenie kraju przez Anglię i Francję. W 1939 roku był potworny strach przed Niemcami, ale jeszcze nie było Katynia, nie było Oświęcimia ani Treblinki... W Budapeszcie powstało w końcu duszpasterstwo dla Polaków. Na jego czele stanął ksiądz biskup Karol Radoński. Trochę przyhamowało to moją działalność. Biskup wydał bowiem zarządzenie, by zaprzestać działalności na własną rękę. Nie zmieniło to mojego trybu życia, a bardziej je zorganizowało. Wcześniej docierałem bowiem do Polaków w mniejszych skupiskach. Teraz organizowano mi kontakty z dużymi skupiskami w obozach. Na Węgrzech byłem przez cały październik, cały czas w drodze. Odwiedziłem około dziewięciu

obozów. Byliśmy zobowiązani do składania oficjalnych raportów na temat ludzi, którzy zgrupowani zostali w obozach, warunków, w jakich tam mieszkają. W zasadzie dopiero od tamtego momentu nasze pomału organizujące się władze na wygnaniu zaczęły interesować się obozami uchodźców.

Cały czas była to jednak cywilna działalność Ojca. Choć z drugiej strony cały czas mówimy o wojnie i okupacji nabierającej z każdym dniem coraz bardziej dramatycznych barw. Formowało się też Wojsko Polskie na Bliskim Wschodzie.

To prawda. Gdy dotarłem do Palestyny, wśród żołnierzy polskich nie było najlepiej. Prawdę mówiąc mieliśmy dużą grupę oficerów i podoficerów, w randze kaprali. Nie mieliśmy wielu żołnierzy szeregowych. Było to towarzystwo mocno zantagonizowane, przeżywające militarną klęskę Polski. Poza tym oficerowie byli całkiem niesłusznie oskarżani o zdradę, nie cieszyli się dużym poważaniem u polskiego żołnierza. Sytuację oczyściło dopiero powstanie w Egipcie Legii Oficerskiej. Oficerowie, mimo swej rangi, stali się zwykłym szeregowym wojskiem. Gdy żołnierze zobaczyli, że porucznik stoi na warcie, zmienili zdanie. Ponownie nabrali szacunku dla oficerskich stopni. Na Bliskim Wschodzie, w Palestynie przez długi czas pracowałem jako duszpasterz w szpitalach, wśród rannych żołnierzy, wśród chorujących cywili. Dopiero 2 sierpnia 1942 roku oficjalnie zostałem kapłanem wojskowym w stopniu kapitana w samodzielnej brygadzie pancernej. Składała się z trzech pułków: IV Pułk Pancerny, I Pułk Ułanów Krechowieckich i VI Pułk Dzieci Lwowskich.

Czy wśród dowódców byli tacy, których Ojciec szczególnie zapamiętał?

Było ich wielu i każdy na swój sposób był kompetentny i wspaniały. Nie sposób jednak wymienić wszystkich. Przybywali do nas z różnych stron: Major Szostak – z Rosji, Iwanowski, Dzieciotowski – z Anglii, Bortnowski, kapitan Drelicharz – z Libii... To byli wspaniali ludzie. W wojsku otrzymałem stanowisko p.o. Szefa Duszpasterstwa 2. Samodzielnej Brygady Czołgów. Miałem zatem pisać raporty. Tego mnie

nigdy nie uczono. A jak pan zapewne wie, wojsko posługuje się specyficznym, hermetycznym językiem. Pułkownik Korczyński, dowódca Brygady, mówił, niech ksiądz przyjdzie do mnie. Czytał to, co napisałem i poprawiał czerwonym atramentem. Do dzisiaj trzymam te zeszyty. Wielu było wspaniałych ludzi, których znałem, i z których wielu potem grzebałem na włoskiej ziemi.

Jakie zadania stały przed księżmi w mundurach?

Gdy przyszedłem do wojska, to nikt mi nie umiał powiedzieć, jak powinna wyglądać moja praca w broni pancernej. Sam się ksiądz przekona – mówiono. W Anglii kapłan to tak jak „politruk”, bo za morale wojska odpowiada. Musi dbać o żołnierzy. W transportach morskich kapłan jest tam ważniejszy od dowódcy. Kapłan dostawał zawsze kajutę jednoosobową. Dowódcy angielscy wychodzili bowiem z założenia, że żołnierze będą chcieli na osobności porozmawiać z kapłanem. W polskiej dywizji było 15 kapłanów katolickich, jeden rabin, protestancki i prawosławny. Nie było grekokatolików, bo ich księża nie chcieli służyć w wojsku. Prawosławni księża pod tym względem wykazywali większą dbałość o wiernych związanych z Cerkwią. A moja praca różnie wyglądała, w zależności od tego, w jakim stanie gotowości bojowej były oddziały wojska. Na postojach organizowałem pogadanki z życia religijnego w wojsku, o jego znaczeniu dla państwa, patriotyzmie i posłuszeństwie. Gdy oddziały wchodziły w stan gotowości bojowej, czyli były przerzucane na pierwszą linię i gotowały się do walki, to był czas organizowania spowiedzi. W takich chwilach żołnierze chętnie się spowiadają. Nie ma wśród nich takich, którzy nie chcieliby porozmawiać o swoich problemach. Wiedzą przecież, co może ich spotkać. Przed samą bitwą jest zwyczaj udzielania ogólnego rozgrzeszenia. Nie zawsze jest przecież czas na to, by każdemu żołnierzowi poświęcić choćby chwilę. Przed bitwą pod Monte Cassino, powiedziałem do żołnierzy ni mniej ni więcej: – Wiecie, co nas czeka. Wielu z nas zginie. Ale jak zostawicie duchownemu sprawy, które was dręczą, będziecie mieli spokój. Zajmiecie się tylko walką, skupicie się na tym, co wam grozi. Nie będziecie się

rozpraszali na to, co wam na duszy leży. Dowódcy byli przerażeni, bo uważali, że przed walką nie można mówić do żołnierza, że może zginąć. Tymczasem okazało się, że ten moment bardzo dobrze podzielał na żołnierzy. Wojsko lubiło mnie bardzo. Oni dla mnie po bitwie pod Monte Cassino zrobiliby wszystko. Gdy mnie czasami nie było w oddziale, szukali innego księdza. Tak była im potrzebna obecność kapelana. A ja w tej wspaniałej atmosferze w oddziałach czułem się bardzo dobrze.

Jak można czuć się dobrze, kiedy ma się pełną świadomość, że przygotowujemy się ich wszystkich na śmierć.

Tak. I oni musieli to zrozumieć. Musieli to zrozumieć, że jako katolicy są odpowiedzialni za wolność Ojczyzny. Dla nich było ważne, że ksiądz jest z nimi na linii walki. Czuli się pewniej, że jest z nimi wóz „white”, a w nim kapelan, lekarz, sanitariusz, mechanik. Podziwiałem też lekarzy, którzy byli opanowani i zawsze z nami współpracowali. Wśród nich byli Żydzi, którzy gdy tylko zauważyli, że ranny odzyskuje przytomność, zawsze wzywali kapelana, któremu kazali robić swoje. Podziwiałem ich za to. Teraz przypisuje się mi, że jestem przeciw Żydom. To nieprawda. Ja jestem tylko przeciw dominacji Żydów w Polsce. Ale – wracając do tematu – poza tym musieli żyć normalnie, czuć się dobrze, i mieć nadzieję na przeżycie wojny. Czy inaczej byłibyśmy tak waleczni? Czy zdobylibyśmy Monte Cassino?

Wśród rannych byli też Niemcy, których brano do niewoli. Czy kapelan miał obowiązek udzielania im ostatniej posługi?

Ja nigdy nie miałem nienawiści do Niemców. W czasie bitwy, czy po niej, nie ma czasu na rozczulanie się. Trzeba być jednakowym dla każdego. Ja bardzo to wszystko przeżywałem, ale aby zachować zimną krew, trzeba nauczyć się bardzo chłodno podchodzić do wszystkich. Młodzi Niemcy brani do niewoli strasznie się ślimaczyli, płakali. Nie pozwalałem rozczulać się żołnierzom naszym nad Niemcami. Z drugiej strony zdesperowani żołnierze częstokroć chcieli się na nich mścić. Nigdy nie pozwalałem uderzyć Niemca tylko opatrzyć i odstawić na punkt, gdzie przetrzymy-

wano wziętych do niewoli. Dlatego też ważna jest obecność księdza na linii. Jeśli go zabraknie, szybciej pojawia się bandytyzm. Pod Bolonią miałem bardzo przykrą sytuację. Lekarz odmówił bowiem udzielenia pomocy rannemu Niemcowi, który miał zabić ks. Waculika. Zrobiłem awanturę. Lekarze i żołnierze podzielili się. Zgłosiłem to dowódcy, który natychmiast zbeształ lekarza. Oddział się uspokoił. Ten Niemiec był żołnierzem, robił swoje.

Na polu bitwy spotykał ksiądz rannych, konających Polaków, nie tylko katolików, ale i wyznania mojżeszowego, protestantów, prawosławnych czy greko-katolików.

Tam nie było czasu na dłuższe rozmowy. Tam była masa rannych. Wszyscy są wtedy równi. Jedna modlitwa kapłana musi objąć wszystkich cierpiących. Jednego jest czas pogłaskać, drugiemu można dać – często ostatniego – papierosa. Mówię o tym tak spokojnie, ale tego nie da się opisać. To jest tragedia. Trzeba to szybko robić, bo drugi czeka. Ranny żołnierz czuje to i nie ma pretensji do otoczenia. Wie, że nie może mnie zająć dłużej, bo tam czeka drugi, jego kolega. On czuje to instynktownie. Zawsze do rozgrzeszenia zdejmowałem hełm. Pewnego razu żołnierz ukradł mi go. Nie patrzył, że należy do księdza... Oczywiście nie zabierałem mu go, on szedł walczyć. Wziąłem jakiegoś rannemu. Przez całą kampanię zmieniałem w ten sposób cztery razy hełm.

W końcu przyszedł czas, by mundur żołnierza zamienić na zakonną sutannę. Jak wyglądało roztanie z mundurem Ojca pułkownika?

Mundur zdjąłem w dniu rozwiązania pułku 17 lutego 1947 roku. Po euforii zwycięstwa przyszło rozczarowanie, rezygnacja. Straciliśmy wszystko. To było gorsze od rozbiorów. Traciliśmy nasze ziemie. Narodowi zafundowano substytut wolności. Ja wróciłem do kraju. I przez te wszystkie lata niosłem pomoc wszystkim tym, którzy nie stracili ducha, wiary i narodowej świadomości. Cieszę się, że teraz dożyłem czasu odzyskania przez Polskę prawdziwej wolności.

Serdecznie dziękuję Ojcu za rozmowę.

Każda wojna – w Europie, Azji czy Afryce – wywołuje ogromny, nie kończący się strumień uchodźców. Tak też było 60 lat temu, w 1939 roku, gdy po 1 września nastąpił 17 – dla nas kresowian jeszcze straszniejszy. Hemar, jako Żyd – i to taki, który manifestacyjnie opowiedział się po stronie polskości – oraz autor drastycznie antyhitlerowskiej sztuki „Orzeł czy reszka” – miał szczególne powody do uchodźstwa. Uwoził swoim małym samochodem ze Lwowa dwóch przyjaciół z żonami, zatłoczoną szosą do Zaleszczyk. O ostatnich chwilach pobytu w ojczyźnie pisze Hemar w wydany w Londynie 17 lat później tomiku pt. „Im dalej w las...”, w zamieszczonym tam smutnym wierszu, który pozwalamy sobie przypomnieć.

Roman Hnatowicz

Liść

*Siedzieliśmy tej nocy – późnej nocy w niedzielę
W samochodzie w pięcioro – dwaj moi przyjaciele
Stefan Norblin i Kazimierz Wierzyński, i ich żony
I ja. Noc była chmurna i mrok nieprzenikniony.*

*Gdzieniedzie tliły niktłe ogniki papierosów
W thumie, co wkoło szemrał tysiącem spłoszonych głosów:
Stłumionych nawoływań, i bezładnych zapytań,
I bezradnych pożegnań, i żałosnych powitań.
A o dach samochodu, drobnymi kropkami
Deszcz szeleścił i szeptał w drzewach, w liściach, nad nami...*

*Ta cała scena była tak dziwnie, tak boleśnie
Nieprawdziwa, jak zmora która przeraża we śnie,
Lecz nie zdarza się w życiu normalnych trzeźwych ludzi.
Ktoś rozsunie firanki, ktoś mnie zaraz obudzi,
Przetnę oczy... Dzień w oknach... Słońce! Ach straszna zmoro...
W dwuosobowym aucie stłoczyliśmy się w pięcioro,
Przerażeni ciemnością, nieruchomi i niemi
W tę czarną noc wrześnieową – ostatnią na polskiej ziemi,
O sto kroków od mostu na rumuńskiej granicy.
Tego dnia rano weszli do Polski bolszewicy.*

*Czy mi kalendarz kłamie? Czy tak się pamięć myli,
Że to już siedemnaście lat zeszło od tej chwili?
Że to już siedemnaście lat mego wygnania,
Które mnie światem pędzi, i wracać mi zabrania,
I zagradza mi drogę ku rodzinnemu Miastu –
Od tej jesiennej nocy – od tych lat siedemnastu?!*

*Strumień wozów i ludzi, w odmęcie czarnych mroków,
Znowu postąpił naprzód. Znowu zrobił kilka kroków.
Już światełka na wzgórzach rumuńskich, niedaleko,
Pełgały przed oczami. Już byliśmy nad rzeką...
Wyszedłem z wozu. Obok, tuż przy drodze, na lewo,
Zamajaczyło przede mną ciemne, ogromne drzewo.
Zamajaczyło w mroku, zamajaczyło w tłumie,
Deszcz w nim szeptał, szeleścił, Poznałem je po szumie.
Poznałem po zapachu – jedynym, potajemnym,
Nieoddanym słowami, gorzkim jakby i ciemnym,
I nasyconym rosą, i jesieni oddechem.
Stałem chwilę w ciemności pod tym drzewem, orzechem.*

*Słuchałem, jak w nim szepce drobnych kropel ulewa...
I zerwałem liść jeden. I zerwałem liść z drzewa.
I zerwałem znad głowy dłońmi roztrzęsionemi
Liść z ostatniego drzewa, co rośnie na MOJEJ ziemi.
Kiść osmiolistną, jakby wyciętą z mokrej wstążki.
I zaniósłem do wozu, i włożyłem do książki.
Włożyłem do zeszytu z nieskończonymi wierszami,
Niech je przejdzie zapachem. Niech je rosą poplamia...*

*Dziś, gdy piszę te słowa – rzewna mi to pociecha:
Otwieram dawną książkę – a w książce liść orzecha!
Jakby z przezroczystego szkła – cieniutki i kruchy,
Lecz wciąż jeszcze zielony, choć przybladły i suchy.
I pachnie wciąż – tym samym, gorzkim jakby i ciemnym,
Nijak nie wystawionym zapachem potajemnym.
A w nim – deszcz cichy pada. I czarna noc podolska.
I wiatr. I szum. I chmury. I tłum. I żal. I Polska...*

*I nie mogę uwierzyć wspomnieniu szepczącemu,
Że w Polsce, u granicy, siedemnaście lat temu,
Rósł na drzewie nade mną ten listeczek sierocy...
Że sam go zerwałem... Tej jesieni... Tej nocy...
I wziąłem liść ze sobą na swą drogę daleką,
Co się wtedy zaczęła za tym mostem, za rzeką.
I wiodła przed oczyma tułaczego przybłądy,
To tam, to sam, to tamtędy, to tędy, to owędy...*

PROZA

Ewa Lempart
PRZYSZLI PO NAS

Deportacje sowieckie, które dotknęły setki tysięcy rodzin polskich z Ziemi Wschodnich, rozpoczęły kilkuletni proces depolonizacji połowy obszaru II Rzeczypospolitej, a ludzi objętych tą zbrodniczą akcją skazywały na nędzę i poniżenie. Poniżej przedstawiamy pierwszą część wspomnień, spisanych przez osobę, która jako dziecko przeżyła koszmar pobytu na nieludzkiej ziemi.

Autorka, Ewa z Nechajów, jest siostrzenicą Tadeusza Sędzimira (Sendzimira), dziś patrona krakowskiej Huty. Wielki polski wynalazca po wrześniu '39 znalazł się po zachodniej stronie teatru wojny, a przecież niewiele brakowało, by podzielił los swojej najbliższej rodziny, lub jeszcze gorzej – bo bezpowrotnie...

WYWÓZKA

Przyszli po nas z 12 na 13 kwietnia 1940 roku. Była to sobota, o trzeciej w nocy. Weszło trzech enkawudzystów, odczytali nazwiska: dziadzia Ernesta¹ i babci Wandy², mamy³, moje i brata Jacka. Kazali się ubrać i w ciągu godziny spakować. Na pytanie mamy, dokąd nas zabierają, odpowiedzieli: *do waszych mężów, i wolno zabrać tylko tyle, ile uniesiecie*. Mój pięcioletni brat Jacek nie mógł nic unieść. Ja miałam dziewięć lat, więc wzięłam jedną z walizek, a mama drugą. Drugą ręką prowadziła prawie nic nie widzącą babcię. Nad dziadkiem Ernestem, który ze zdenerwowania trząsł się cały, zlitowali się i pozwolili zostać. Początkowo babci też pozwolili, ale zjawił się naczelnik tej grupy NKWD i kazał jej się zbierać. Załadowali nas na ciężarówkę, na której już siedziała zapłakana pani z młodszą ode mnie dziewczynką. Przez prawie cały czas w Rosji mieszkaliśmy razem.

Babcia wychodząc, powiedziała: *Jadę śladami moich dziadów*, bo dziadkowie babci też kibitkami jechali na Sybir.

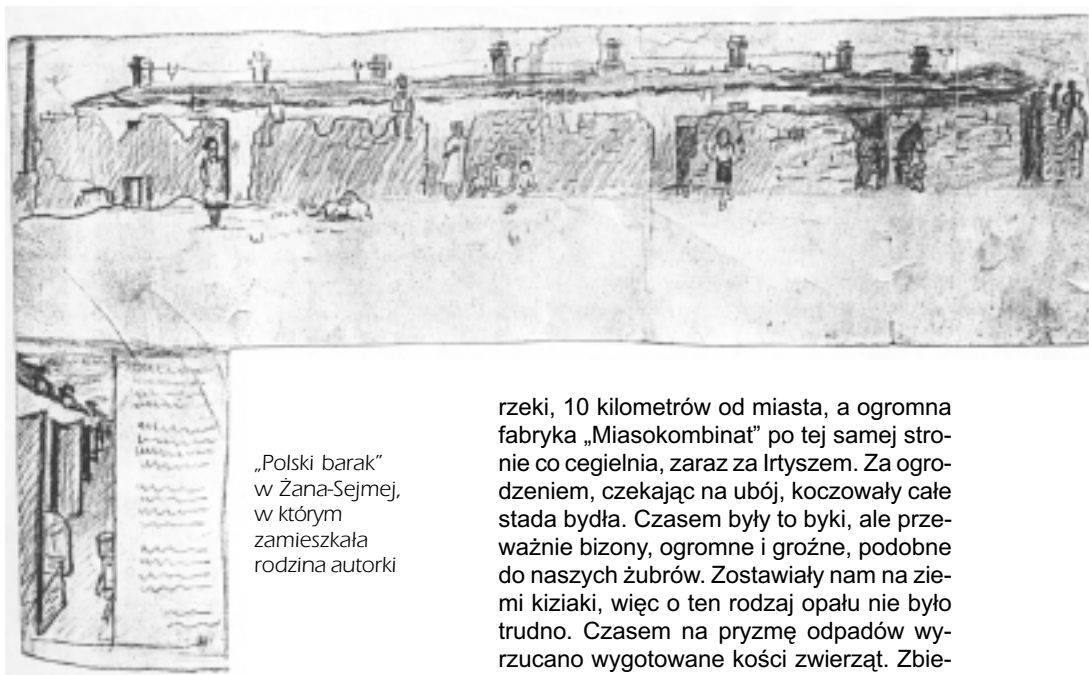
Zawieziono nas na dworzec towarowy. Pociąg, złożony z samych wagonów towarowych, stał już przygotowany. Wnętrze

wagonu było brudne, w obu jego końcach stały piętrowe prycze z desek, od ściany do ściany. Mieściło się tam dziesięć osób leżących pokotem. Pod sufitem cztery zabite deskami okienka. W przejściu między pryczami stał piecyk żelazny i drewniany sedes. Do wagonu upchali ponad 40 osób. My zajęliśmy dolną pryczę, żeby babcia nie musiała się wspinać na górę – była najstarsza w wagonie. Wieczorem usłyszeliśmy jakieś hałasy i wywoływanie naszego nazwiska. To – pewnie za grubą łapówkę – Ela i ciocia Marychna podały nam przez odbitą z okna deskę dwie kołdry i trochę jedzenia. Dzięki nim nie marzliśmy w podróży i w czasie srogich syberyjskich zim.

Po dwóch dniach stania na dworcu nasz ogromny pociąg ruszył. Początkowo wieźli nas w szczelnie zaplombowanych wagonach, ale w miarę narastania kilometrów, gdzieś za Uralem, przestano przestrzegać zamykania drzwi i kto się dopchał do otwartych wrót, mógł podziwiać przesuwające się przed oczami krajobrazy: step, ogromne, niezaludnione przestrzenie. W końcu dojechaliśmy do Semipałatyńska w Kazachstanie – było to tuż przed 1 maja. Załadowali nas na ciężarówkę i zawieźli do Żana Semej – Kirpicznoj Zawod nr 1, czyli cegielni.

MIEJSCE DO ŻYCIA

Zmęczeni ponaddwutygodniową podróżą nareszcie stanęliśmy na twardej ziemi. Przed oczami rozciągał się widok bezkresnej pustyni. Ani trawy, ani drzew i krzaków, tylko piach i piach. Trochę zieleni było na brzegu rzeki Irtysz, ale żeby ją zobaczyć, trzeba było iść parę kilometrów. Na horyzoncie majaczyły budynki fabryczne „Miasokombinatu”, gdzie wyrabiali konserwy dla wojska. Z drugiej strony baraki i zabudowania cegielni, ogrodzone siatką i murem. Przed cegielnią stało parę mizernych chałup, gdzie mieszkaly zesłane tu rodziny rosyjskie – raczej same kobiety, bo mężczyźni zostali gdzieś odesłani. Były to pracownice cegielni.



„Polski barak”
w Żana-Sejmej,
w którym
zamieszkała
rodzina autorki

Widziało się też twarze z wystającymi kośćmi policzkowymi i skośnymi oczami. Byli to Kazachowie, którzy początkowo wiedli tryb życia koczowniczy, ale przed wojną osiedlili się na stepie. Mieszkali blisko rzeki w domkach z gliny, prawie całkowicie zagłębionych w ziemi. Oni też pracowali w cegielni lub „Miasokombinacie”.

Poszczególne rodziny polskie dokwaterowano do mieszkających tam Rosjan. Barak dla Polaków nie był jeszcze gotowy. Mamę od razu zabrano do pracy w cegielni. Elegancka pani, która w życiu nie pracowała fizycznie, musiała po 10 godzin harować przy wyrobie cegieł.

Moje dzieciństwo się skończyło. Wprawdzie początkowo poszłam do rosyjskiej szkoły, oddalonej od cegielni o jakieś cztery kilometry, ale już po miesiącu musiałam zrezygnować, żeby opiekować się źle widzącą babcią Wandą i małym bratem. Jako dziewięcioletnia dziewczynka, nie najmocniejsza fizycznie, musiałam dźwigać do domu wiadra wody, zbierać po stepie osławiony „kiziak” (suszone odchody bydłęce) na opał, wynosić brudną wodę i w ogóle zajmując się gospodarstwem.

Semipałatyńsk leży nad Irtyszem. Cegielnia była położona po drugiej stronie

rzeki, 10 kilometrów od miasta, a ogromna fabryka „Miasokombinat” po tej samej stronie co cegielnia, zaraz za Irtyszem. Za ogrodzeniem, czekając na ubój, koczowały całe stada bydła. Czasem były to byki, ale przeważnie bizona, ogromne i groźne, podobne do naszych żubrów. Zostawiały nam na ziemi kiziaki, więc o ten rodzaj opału nie było trudno. Czasem na przyrmę odpadów wyrzucano wygotowane kości zwierząt. Zbieraliśmy to i jeszcze raz wygotowywali na domowych piecykach, żeby zdobyć trochę tłuszczu.

Mama i Jacek zaraz na początku zachorowali na krwawą biegunkę. Mamie to niedługo przeszło, ale Jacuś chorował parę miesięcy. Był tak wyczerpany, że nie mógł chodzić. Właściwie cały dzień spędzał siedząc na glinianym nocniku. Lekarka zaleciła mu dietę z sucharków, a do dyspozycji mieliśmy tylko kartkowy chleb żytni z otrębami. Lecz raz Rosjanka dała mu kawałek białego świeżego chleba, upieczonego przez siebie. Mama myślała, że to go już wykończy, a tymczasem biegunka ustała i Jacuś zaczął wracać do zdrowia.

Pod koniec lata skończyli budować polski barak. Składał się z 15 kwater. Do każdej kwatery prowadziły drewniane schody ze wspólnego, długiego, a bardzo wąskiego korytarza. Ściany były cienkie, z pojedynczej cegły, zamiast podłogi – klepisko i małe, nie otwierane okno. Nie było sposobu ogrzania w zimie tego pomieszczenia. Było tak zimno, że w nocy zamarzała woda w wiadrze, a ziemniaki zgromadzone na zimę, pomimo że trzyaliśmy je w łóżku pod głowami, też zamarzały. W każdej kwaterze mieściły się dwie rodziny.

Właściwie nie było ani jesieni, ani wiosny. Od razu po upalnym lecie przychodziła sroga zima. Raz było ponad 50 stopni mrozu, ale przeważnie 40. Latem dochodziło do 40 stopni ciepła. Zimą wiały silne wiatry, kaleczące twarz ostrymi kawałkami lodu. Chodziło się z twarzą omotaną jakąś chustką, tak że tylko oczy było widać. Pewnego razu nieopatrznie odsłoniłam twarz i zaraz pojawiły się białe plamy odmrożenia. Dopiero jakiś Kazach chwycił w garść grudkę zamrożonego śniegu i zaczął mi nim nacierać twarz, aż krew poczęła normalnie krążyć.

Ale na razie było jeszcze lato, dzieciarnia bawiła się przed naszym barakiem, gdy robotnicy podłączali do niego prąd. Naturalnie robili to bez żadnego zabezpieczenia, a na wysokości metra nad ziemią wisiał drut. Piękny, lśniący w słońcu, spodobał się mojemu bratu, chwycił go więc dwoma rączkami i w tym momencie rzucił go na ziemię. Był biały jak kreda i przez dobre parę minut leżał nieprzytomny. Drut był pod napięciem.

DZIEŃ ZA DNIEM

W niedzielę wynosiło się przed barak żelazne łóżka i deski służące do spania, i robiło się wielkie pluskwobicie, nalewając naftę we wszystkie zakamarki. Niewiele to jednak pomagało, bo żarły nocami niemiłosiernie. Pojawiły się też wszy.

Żywiliśmy się głównie chlebem, otrzymywanym na kartki: 40 dag na pracującego i po 20 dag na członka rodziny. Mama wysprzedawała swoje rzeczy przywiezione z Polski i kupowała za to trochę mąki lub ziemniaki. Zdobyła gdzieś szydełko i nocami podnosiła oczka w swoich jedwabnych pończochach, które potem sprzedawała Rosjankom.

Nie na długo jednak tych rzeczy starczyło, tym bardziej że trzeba było zdobyć na zbliżającą się syberyjską zimą jakieś cieplejsze ubrania. Kupiła mi więc mama „pimy” – filcowe buty do kolan, „fufajkę” – watowaną pikowaną kurtkę i takie same spodnie. Na głowę dostałam kazachską sukienną czapę z długimi nausznikami, które, gdy było cieplej, podwijały się do góry. Babcia i Jacek nie wychodzili z domu na mróz, więc nie potrzebowali ciepłej odzieży.

Później już nauczyliśmy się innego sposobu zarabiania paru groszy. Od Rosjanek pracujących w fabryce sukna w Semipałatyńsku kupowała mama i inne Polki wrzecionowate motki zgrzebnej szarej wełny, które te pracownice kradły i wynosiły z fabryki pod fufajkami. Z tego robiło się swetry. Ja robiłam plecy i przody, Jacek wyspecjalizował się w robieniu rękawów, mama te części rozprasowywała do normalnych wymiarów, zszywała, a czasem nawet haftowała kolorową włóczką. Tygodniowo robiliśmy dwa lub trzy takie swetry, a w niedzielę mama jeździła do Semipałatyńska na bazar i sprzedawała je Rosjankom. Dużo Polek stało na bazarze z tymi burymi swetrami i nikt się nie interesował, skąd brały na to surowiec.

W naszym cegielnianym osiedlu był jeden mały sklepik. Przeważnie nic w nim nie było, oprócz ogonka czekających na kartkowy chleb, ale parę razy pojawił się zupełnie niecodzienny towar: wory z czymś, co przypominało ogromny pęczak. Polki od razu poznały, że jest to surowa, niepalona kawa i kupiły po parę kilogramów. Potem paliły to na patelni, tłukły na kamieniu na proszek i parzyły kawę. Rosjanki myślały, że to kasza i nie mogły zrozumieć, dlaczego po całym dniu gotowania jest dalej twarda i niesmaczna. Innym razem przywieźli cały transport rakiet tenisowych, a raz udało się kupić puszkę chałwy. Do dzisiaj



Wanda Sędziemirowa, babka autorki,
w Kazachstanie

pamiętam rozkoszny smak na podniebieniu i nigdy żadna chałwa tak mi nie smakowała jak tamta.

Mijały smutne, szare, głodne dni, wypełnione ciężką pracą. Dla mnie, jeszcze dziecka, nie było to takie tragiczne, po prostu takie były warunki życia i musiałam się do nich przystosować. Ale dla mamy, a zwłaszcza dla babci, była to prawdziwa tragedia. Czasem przychodziły listy z Polski. Dziadzio Ernest pisał, że ma wiadomości o naszym ojcu¹, iż został wywieziony do więzienia w Kijowie i że jest mu lepiej niż na Zamarstynowie, że stryj Fredzio jest na Węgrzech i że NKWD w czerwcu wywiozło też ze Lwowa na Ural naszą wierną służącą Elę. Przyszedł też list od wuja Tadeusza⁵, brata mamy, ze Stanów, że robi starania, by nas z Kazachstanu wydobyć, a na razie będzie pomagać paczkami. Nic z jego starań nie wyszło.

Wiadomości polityczne słabo do nas docierały. Wprawdzie można było kupić rosyjską gazetę, ale dorośli Polacy nie znali cyrylicy, a poza tym w ciągłej walce o przeżycie nie mieli czasu na interesowanie się sukcesami Niemiec. Dopiero wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 roku rozpolitykował małą społeczność cegielnianego osiedla. W miarę jak Niemcy posuwali się na wschód i zajmowali coraz to nowe tereny rosyjskie, tutejsi mieszkańcy, Rosjanie i Kazachowie, cieszyli się nadzieją, że dotrą aż do Kazach-

stanu i oswobodzą ludzi spod panowania czerwonych.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

¹ Ernest Nechay, inż. górnik.

² Wanda Sędzimirowa.

³ Teresa z Sędzimirów Nechayowa.

⁴ Wiktor Nechay (1895 Lwów – 1940 Rosja), legionista, inż. geolog, asystent na Polit. Lw., potem dyrektor polskiego gimnazjum w Bytomiu (wtedy niemieckim). Na skutek działalności na rzecz polskości musiał Bytom opuścić i objął stanowisko kustosa w Muzeum Śląskim w Katowicach. W IX 1939 powrócił do Lwowa. Aresztowany i wywieziony przez Sowietów, zmarł w więzieniu (?).

⁵ Tadeusz Sendzimir, brat Teresy Nechayowej. W czasie i po II wojnie w USA. Znakomity metalurg, patron Huty w Krakowie.

EWA LEMPART, z domu Nechay, ur. 1930 we Lwowie. Dzieciństwo spędziła we Lwowie, w Bytomiu (wtedy niemieckim) i Katowicach. W 1940 wraz z rodziną wywieziona ze Lwowa do Kazachstanu, wróciła w 1946 do Krakowa. Tu ukończyła Liceum Sztuk Plastycznych, potem Wydział Inżynierii na Politechnice Krakowskiej. Pracowała jako projektant w biurze projektowym obiektów przemysłowych, obecnie na emeryturze. Równocześnie uprawiała sport szybocowy i jako pilotka ustanowiła rekord świata w przelocie szybkociowym (1953). Jako żeglarka dotarła do Wysp Owczych. Jej wspomnienia sportowe były publikowane.

PROZA

Wanda Komornicka
W MIEŚCIE, NA WSI, W WIĘZIENIU

WRZESIEŃ I SOWIECI

Piękne było lato 1939 roku, toteż wakacje, które – jak co roku – spędzałyśmy w majątku stryjostwa, miały nam w przyjemnej, beztroskiej atmosferze, urozmaiconej wycieczkami, tańcami, śpiewami, wszystkim, co było przejawem młodości i radości. Lecz nagle zaczęły nas przerażać wiadomości radiowe, bo wróżyły zbliżanie się tego, co znało się tylko z opowiadań i książek – a więc wojny. Od połowy

sierpnia młodzi ludzie z wioski otrzymywali wezwania do wojska. Przychodzili do dworu, do stryjostwa po błogosławieństwo na drogę i nowe doznania. My postanowiłyśmy wracać do Lwowa, nim nad naszym krajem zawiśnie jakiś kataklizm. Pożegnaliśmy nasze kochane Tyszkowice z żalem, nie wiedząc czy i kiedy je jeszcze ujrzymy.

Wybuchła wojna, zaczęły się bombardowania. Pragnęliśmy, by niebo pokryło się chmurami, co mogłoby Niemcom utrudnić



naloty. Ja i moja siostra, pełne wiary w zwycięstwo polskiej armii, pełne zapału i patriotyzmu, zaczęłyśmy uczęszczać na Kursy Białego Krzyża gdzieś przy ul. Łyczakowskiej (dziś adresu nie pamiętam), obsługiwałyśmy też kantinę na Dworcu Głównym – dla powołanych do wojska. Trzeba było uważać, gdyż zaczęła się tam dywersja, mówiono o szpiegach. Należało pilnować, by nikt niepowołany nie podchodził do naszych stoisk z produktami spożywczymi. Pewnego dnia rano, gdy obie wybierałyśmy się do pracy, nasza matka stanęła w drzwiach i zabroniła nam iść. Nie pomogły nasze przekonania o obowiązku – musiałyśmy zostać. Około 9 rano zaczęło się bombardowanie i całe tamto skrzydło dworca, gdzie pracowałyśmy, zostało zawałone. Przeczucie naszej matki uratowało nam życie.

Tymczasem wszyscy sprawni fizycznie, pod przewodnictwem wojskowych, zabrali się do budowy barykad na ulicach. Od samego początku przeszkadzali w tym Ukraińcy, którzy np. z domu przy ul. Potockiego 48 rzucali kamienie, a nawet zaczęli strzelać. Musieliśmy więc zaprzestać tam pracy i udaliśmy się na inne ulice, by budowę barykad kontynuować.

Lwów przed Niemcami bronił się krótko. Pamiętam jak mój narzeczonny Adam,

który brał udział w obronie Lwowa, pewnego dnia przyszedł w zakrwawionym mundurze. Pocisk trafił jego kolegę Mańkowskiego. Porwali go na ręce i tak im zmarł.

Po kilku dniach weszli do Lwowa Sowieci. Były to beżładne bandy w poszarpanych płaszczach, z przestarzałą bronią, śmierdzące dziegciem. Byliśmy świadkami rozbrajania naszych pięknie umundurowanych żołnierzy i oficerów. Widzieliśmy, jak nieraz dorośli mężczyźni płakali niczym małe dzieci, i serce się nam krajało.

W dniu wkroczenia Sowieców, lecz wcześniej, bo o 5, rano zapukał do nas mąż naszej znajomej, Mit Szuldrzyński. Twierdził, że Lwów ma być oddany Sowiecom. Był on oficerem sztabowym (sztab stał w hotelu George'a), ale my jego słowa uważałyśmy za defetyzm. Prosił nas o jakieś cywilne ubranie, które zaraz dostarczyłyśmy mu. Niestety – zamiast przebrać się u nas, poszedł z tym do hotelu, a tam już byli sowieci. Aresztowali wszystkich, a po paru dniach wieczorem zapukał do nas jakiś kolejarz wracający ze służby i wręczył nam świątek gazety, na którym Mit napisał: *Wiozą nas na wschód*. Po wojnie znalazłyśmy jego nazwisko na liście katyńskiej. Osierocił żonę i synka, który urodził się już po jego śmierci.

Przez jakiś czas pracowałam w Parku Stryjskim, gdzie zatrudnionych było wiele kobiet – żony lekarzy, adwokatów, inżynierów. Woziliśmy na taczkach nawóz, ziemię i sadzonki. Po pracy kazano nam uczestniczyć w mitingach – na ratuszu, ku czci *bałki* Stalina. Jak automaty, na każdą wzmiankę o nim musiałyśmy wstawać. Odbывało się to bez końca.

Tymczasem stryj Adam Świeżawski, by ochronić nas wszystkich od aresztowań i wywózek, bo *kto nie pracuje, ten nie je* – zorganizował jadłodajnię, w której podjęło pracę parę osób z naszej rodziny. Ciotka Aniela została kasjerką, kuzynka bufetową, dwie znajome kelnerkami, a ja zajęłam się gotowaniem. Do pomocy miałam młodą, energiczną dziewczynę Martę. Mieliśmy dużo klientów – przeważnie ziemiaństwo, które zjechało do Lwowa. Aprowizacją zajęli się stryj i mój narzeczonny – póki był we Lwowie. Stryj Adam Świeżawski, zaangażowany w konspirację, polecił nam codzienne wydawanie obiadów czternastu młodym ludziom z organizacji. Wchodzili tylnym wejściem od ul. Śniadec-

kich – jedli i znikali. Nie trwało to zbyt długo, gdyż wkrótce zainteresowało się nami NKWD i rodzimi szpicle (pamiętam nazwisko: Czaban) – zaczęli coraz częściej wpadać do naszej jadalni. Musiano przestrzec chłopców, by się nie narażali i więcej nie przychodzili. Ów szpicel Czaban, gdy widział mego stryja na sali, wołał głośno: *Czołem panie kapitanie!* (stryj był kapitanem rezerwy, dowódcą odcinka w Obronie Lwowa w 1918 r.). W 1940 r. stryja aresztowali i wywieźli, a jadalnię zamknęliśmy.

W tym samym czasie w naszym domu powstał punkt pocztowy. Dostarczoną mi pocztę roznosiłam w różne miejsca, dość daleko – specjalnie pamiętam, że gdzieś za Teatr Wielki. Pocztę przynosili dwaj chłopcy, kilkunastoletnia dziewczynka i starszy człowiek. Gdy dziś patrzę z perspektywy lat na tę sprawę, wydaje mi się, że wybór naszego domu na punkt pocztowy nie był dobry, gdyż ganek, przez który trzeba było przejść, był zupełnie odkryty i widoczny z ulicy. Gdyby ktoś chciał obserwować, skojarzyłby, że zawsze o tej samej porze te same osoby odwiedzały nasze mieszkanie przy Potockiego 42.

Tymczasem zaczęły się wywózki i aresztowania. Z naszej kamienicy wywieziono żonę oficera z dwoma małymi synami (p. Ławiec). Nas to ominęło, ale na wszelki wypadek miałyśmy przygotowane podręczne rzeczy, by nie być w razie czego zaskoczonym. W tym czasie wywieźli też moją stryjenkę, żonę aresztowanego uprzednio stryja Adama, oraz wiele znajomych rodzin. Próbowaliśmy z moją siostrą i kuzynką dobrnąć na dworcu do pociągu (z bydlęcymi wagonami), by podać stryjence żywność. Niestety cały pociąg był otoczony kordonem NKWD i odpędzono nas bagnętami.

ZA NIEMCÓW

Gdy inwazja niemiecka zagroziła Sowietom, opuścili Lwów, uprzednio mordując wszystkich więźniów na Łackiego, na Zamarstynowie i w Brygidkach. Gdy wczesnym rankiem Niemcy weszli do Lwowa, zaczął się sądny dzień. Co prawda wkraczająca armia tak bardzo różniła się od sowieckiej: porządne mundury, nowa broń, zegarki na rękach, dużo czołgów itd., ale to co się zaczęło – przypominało jakieś apokaliptyczne koszmary. Niemcy zaczęli wyłapywać Żydów, którym kazali wyciągać po-

mordowanych z cel i układać na podwórzu więziennym. Wszystkie te trupy miały potwornie opuchnięte nogi, a ponieważ leżały prawie tydzień od wycofania się Sowietów – w czerwcowej temperaturze – unosił się nad nimi przeraźliwy odór i niesamowite ilości olbrzymich much.

Z ciotką Stefanią starałyśmy się znaleźć mego stryja, gdyż nie wiedziałyśmy, gdzie był. Nie znalazłyśmy go. Z nami było moc ludzi – płacze i rozpacz, gdy znajdowali swych najbliższych tak okrutnie pomordowanych. Nasze szukanie skończyło się w momencie, gdy spostrzegłam w jednej z cel moją koleżankę Kazię J., z którą podczas mszy wielkonocej śpiewałyśmy w chórze w katedrze ormiańskiej. Była do połowy rozebrana, miała siną twarz i szyję, i wywalony język. Potem nie byłyśmy już w stanie kontynuować poszukiwań.

Przez pewien okres pracowałam w RGO wraz z wieloma innymi kobietami, kleiłyśmy koperty i toreбки. Praca była łatwa, chociaż nudna, ale dawała odpowiednie zaświadczenie, a o to chodziło.

Pod koniec maja wyjechałam do Krakowa, do rodziców mego narzeczonego i tam w kościele św. Szczepana wzięliśmy ślub. Były wtedy łapanki na ulicach, więc nasza „podróż poślubna” ograniczyła się do przejścia paru ulic. Przez pewien okres mieszkaliśmy w Krakowie, ale w jesieni wróciliśmy do Lwowa i tam mąż z ramienia *Liegeschafu* otrzymał pracę kierownika w majątku Taurów k. Brzeżan. Nie przebywaliśmy tam długo, gdyż zaczęły się ukraińskie mordowania Polaków i zrobiło się niebezpiecznie. Przenieśliśmy się bliżej Lwowa – majątek Poluchów z klucza dóbr Potockich. Obsada była polsko-ukraińska, ale dość zgrana, mieliśmy z ludźmi bardzo dobre stosunki. Pewnej nocy obudził nas jakiś trzask czy stukot, więc zerwaliśmy się z łóżka, nie rozumiejąc, co się dzieje. Po chwili ktoś zapukał do okna. Okazało się, że to nasz nocny stróż Petko – Rosjanin z pochodzenia, ale spolszczony. Przypelził na kolanach przez całe podwórze folwarczne, by sprawdzić, czy żyjemy, gdyż podobno ktoś do nas strzelał. Na szczęście nic się nie stało.

W dworku oprócz nas mieszkał księgowy – gestapowiec, i młody księgowy – Polak, który pewnego dnia wybrał się służbowo do sąsiedniego majątku i nigdy nie

wrócił. Podobno zamordowali go Ukraińcy. Księgowym głównym całego klucza – o ile pamiętam – był pan Dzikusko, bardzo zaangażowany w działalność konspiracyjną, tak jak i weterynarz dr Grzyb, z którym byliśmy w wielkiej przyjaźni.

Tymczasem zaczęły dochodzić do nas różne groźne wieści z sąsiednich wsi o masowych mordach Polaków. Pewnego dnia Adam powiedział mojej matce i mnie, że musimy szybko się pakować, zlikwidować gospodarstwo i natychmiast wracać do Lwowa. Musimy to jednak załatwić dyskretnie, by nikt nie spostrzegł. Sam – do późnego wieczora wykonywał swe zwykłe czynności, jak rozdzielanie prac na dzień następny itp. My tymczasem, mając pełną piwnicę owoców i jarzyn, wiele drobiu – starałyśmy się porozdawać wszystko zaufanym ludziom. Dowiedziałyśmy się, iż fornale przestrzegli mego męża, że Ukraińcy postanowili nas około drugiej w nocy zamordować. Zaraz po dwunastej ci dobrzy ludzie przyprowadzili nam wóz z parą koni pod sam dom. Konie miały nogi owinięte szmatami – chodziło o to, by nasz sąsiad gestapowiec nic nie usłyszał. I tak w ciszy tej groźnej dla nas nocy, we trójkę, z resztą zapasów, wyruszyliśmy do Lwowa, pełni wdzięczności dla tych ludzi, którzy uratowali nam życie. Mąż, gdy ruszyliśmy, prawie z miejsca zasnął ze zmęczenia, więc wzięłam lejce i powoziłam aż do miejsca, gdy nas już blisko Lwowa zatrzymał patrol ukraiński. Zamarłam ze strachu, ale mój mąż natychmiast oprzytomniał i na pytanie gdzie jedziemy – powiedział, że wiezie mnie na poród do szpitala. Co prawda, byłam dopiero w siódmym miesiącu ciąży, ale jakoś, przy Boskiej pomocy, przepuścili nas.

DO WIĘZIENIA

We Lwowie zajechaliśmy na ul. Świętokrzyską, do willi naszych krewnych Żurowskich. Do domu baliśmy się jechać, spodziewając się, że tam nas będą szukać. Mąż zaraz rano odwiózł konie i wóz na targ, by znaleźć kogoś z Poluchowa, kto-

by je odwiózł do majątku i udało mu się to. Parę nocy spędziliśmy w tej willi, potem wróciłam z matką do domu, mój mąż zaś pozostał na Świętokrzyskiej. Po paru dniach przyszedł do domu, bo chciał być z nami. Myśleliśmy, że już nic nam nie grozi.

Niestety – zaraz następnego wieczoru, gdy pogrążeni byliśmy w lekturze, rozległo się walenie do drzwi. Matka otworzyła je i ujrzeliśmy siedmiu ukraińskich milicjantów wraz z naszym dozorcą. Od razu rozbiegli się po mieszkaniu, a widząc nas w łóżku spytali mnie – wskazując na męża – kto to jest, i zażądali jego kenkarty. Uprzednio przez organizację wystaraliśmy się o dokument na nazwisko *Warnicki*. Oni, widząc to nazwisko, tak mi rzekli: *Tu oto wisi obraz Matki Boskiej, a ty śpisz nie z mężem, tylko z obcym mężczyzną!* Co mogłam im odpowiedzieć? Zaczęłam prosić, by go nie zabierali, ale nie odniosło to żadnego skutku. Po jego zabraniu ogarnęły mnie najgorsze myśli. Nazajutrz rano poszłam na milicję ukraińską z moim kuzynem Danielem i przyjacielem Gabrielem, gdzie dowiedzieliśmy się, że trzyma go nie gestapo, lecz kripo. Po jakimś czasie ktoś nas poinformował, że wywieźli go na roboty. W tydzień potem przyszło do naszego mieszkania paru Ukraińców, kazali mi się ubrać i zabrali mnie, chodziło rzekomo o przekupstwo. Zaprowadzili mnie naprzód na komisariat przy ul. Mickiewicza, a potem na komendę przy ul. Mickiewicza. Tam się długo wysiedziałam, o co mnie pytali – nie pamiętam. Następnie za-



Autorka z mężem Adamem Komornickim, 1990, Milwaukee, USA

prowadzili mnie na gestapo na ul. Pełczyńską. Tam znów mnie przepytawali o męża, do jakiej organizacji należymy, co robimy itd. Efektem było zaprowadzenie mnie przez jednego z gestapowców (który okazał się grzeczny – podejrzewałam nawet, że to wtyczka naszej organizacji w gestapo) do więzienia na Łąckiego. Nie ma chyba gorszego uczucia nad to, gdy się za tobą zamykają drzwi więzienne. Na furcie urzędnicza więzienia, Ukrainka, odebrała mi torebkę, papiery, pieniądze i biżuterię.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Za udostępnienie powyższego tekstu dziękujemy kuzynce Autorki, pani Zofii ze Świeżawskich Gądzińskiej.

WANDA KOMORNICKA, z domu Świeżawska (1917–99), ur. w Lubaczowie jako córka Włodzimierza, starosty. Od 1923 mieszkała z rodzicami we Lwowie, tam uczęszczała do gimnazjum ss. Sacre Coeur, potem ukończyła Szkołę Gospodarczą na Snopkowie. W okresie I okupacji sowieckiej zaangażowana w konspirację. W czasie okupacji niemieckiej przebywała poza Lwowem wraz z mężem Adamem, kierownikiem kolejnych *ligenschaftów*. Członek AK, aresztowana przez gestapo, przebywała w więzieniu przy ul. Łąckiego. Po wojnie wyjechała z rodziną do Ameryki. Wychowała 5 dzieci, doczekała się kilkanaściorga wnuków i kilkorga prawnuków. Mimo oddali, interesowała się losem kraju ojczystego i Lwowa. Była członkiem oddziału krakowskiego TMLiKPW, prenumerowała kwartalnik CL. Zmarła w lutym br.

Naszym zdaniem CUD NAD WISŁĄ I ZADWÓRZE

Minęła kolejna (79) rocznica zwycięstwa oręża polskiego nad bolszewicką Armią Czerwoną pod Radzyminem, bitwy zwanej „Cudem nad Wisłą”, a tym samym taka sama rocznica rzezi pod Zadwórzem, zwanej „Polskimi Termopilami”.

Wiemy o co chodziło: osławiona konna armia Budionnego szła na Lwów. Czoło stawiał jej – nie czekając na przybycie regularnych dywizji polskiego wojska – batalion ochotników ze Lwowa, w sile tysiąca młodych ludzi, pod dowództwem rotmistrza Romana Abrahama (późniejszego generała), chlubnie wcześniej wstawionego w wojnie z Ukraińcami 1918/19 roku. Bolszewicy rozbili ten oddział pod Krasnem, ale jego część dowodzona przez kapitana Bolesława Zajączkowskiego, nie wycofała się, lecz poszła dalej. Pod Zadwórzem wywiązała się nierówna bitwa – na około 300-osobowy oddział lwowskich studentów i gimnazjalistów rzuciła się niemal cała dywizja kozacka. Polaków, mimo bohaterkiej obrony, wybito w okrutny sposób.

Opisane bitwy nie stanowiły na pewno *majstersztyków* polskiej sztuki wojennej, ale spełniły wielką rolę: wstrzymały przed

Lwowem „konarmię” Budionnego, którą zaraz potem rozbiły śpieszące na odsiecz dwie polskie dywizje. Tym samym Budionny nie mógł już się udać z pomocą Tuchaczewskiemu pod Warszawę, nie jest więc pewne – niczego nie ujmując bohaterom spod Radzymina – czy bitwa warszawska miałaby taki, a nie inny przebieg.

Zastanawia całkowite przemilczanie wydarzeń spod Lwowa i rzezi pod Zadwórzem. Pomijając względy militarne – sam fakt bestialskiego wymordowania 300 młodych Polaków zasługiwałby na podtrzymanie w narodowej pamięci. A może to warszawiacy nie chcą nic uszczknąć ze swojej chwały? Nie powinni jednak zapominać, że w Grobie Nieznanego Żołnierza na placu Piłsudskiego leży symboliczny bohater spod Zadwórza, bo pani Stefania Zarugiewiczowa, która wskazała niezidentyfikowane szczątki Bohatera Wojny – tam właśnie straciła swego 19-letniego syna. A historycy krakowscy? Może boją się narazić tym, którzy tak niegodziwie odnoszą się do pomnika tych właśnie młodych bohaterów – Cmentarza Orląt. Byli wszak wśród nich także młodzi krakowianie!

Dla przypomnienia: opowieść o „Polskich Termopilach” pióra T. Kryski-Karskiego (z Londynu) zamieściliśmy w CL 2/95, a prozę Zofii Kossak-Szczuckiej w CL 5/98.



Zenon Malik

Gmach Korpusu Kadetów we Lwowie

KADECI II RZECZYPOSPOLITEJ

Międzywojenne korpusy kadetów stanowiły kontynuację wspaniałych tradycji szkół rycerskich XVIII wieku, w tym powołanej do życia w 1765 r. przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego w Warszawie Szkoły, której pierwszym komendantem – z polecenia króla – był generał Ziem Podolskich książę Adam Czartoryski.

Szkoła ta wykształciła wspaniały poczet bohaterów narodowych, pośród których jaśnieją takie postacie, jak Tadeusz Kościuszko, Jakub Jasiński, Julian Ursyn Niemcewicz czy Karol Kniaźiewicz, lub polegli w czasie Powstania Listopadowego gen. Józef Sowiński. Kontynuatorami tych tradycji były korpusy kadetów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego. Szczególny rozgłos i sławę przynieśli im tej miary ludzie, co gen. Ludwik Mierosławski – przywódca powstań narodowych i bojownik Wiosny Ludów w Europie, gen. Szturman czy Kruszewski. Kadetami byli też Kazimierz Pułaski, Jan Kozieltulski, Józef Bem, Henryk Dąbrowski. Wszystkie pokolenia kadeckie wniosły daninę krwi w walkach o Ojczyznę i Wolność.

W toku walk o niepodległość w I wojnie światowej, już w oswobodzonym z austriackiego panowania Krakowie, utworzony został pierwszy w Polsce Odrodzonej – w październiku 1918 roku – Korpus Kadetów nr 1. Mieścił się w gmachu Szkoły Podchorążych na Łobzowie, i tutaj odbył się w 1919 r. pierwszy egzamin dojrzałości.

W lipcu 1919 r. powstał Korpus Kadetów nr 2 w Modlinie. W tym też czasie nadano korpusom pierwszy statut.

W kwietniu 1921, w czasie ferii wielkanocnych, Korpus Kadetów nr 1 przeniesiono do Lwowa, do budynków dawnej austriackiej Kadeckiej Szkoły Piechoty (okrytych blaskiem chwały i bohaterstwa Orłąt Lwowskich w listopadowej obronie 1918 r.). Podjęto tam zaraz normalne funkcje nauczania.

Wychowankowie korpusów kadetów mieli w szkołach oficerskich stanowić doborowy element *obywateli prześląkniętych duchem rycerskim, miłujących tradycje Wojska Polskiego, przejętych ważnością służby zbrojnej dla Ojczyzny*.

W 1920 roku sytuacja polityczna w kraju była niezwykle napięta. Kadetom, którzy ukończyli 17 rok życia, zezwolono na zaciąganie się do oddziałów liniowych. Spowodowało to opóźnienie roku szkolnego 1920/21. Uczestnicy wojny, którym pozwolono nosić otrzymane na froncie stopnie wojskowe i odznaczenia, zasiedli znów w ławkach szkolnych. Normalną naukę przerwał jednak wybuch III powstania śląskiego. Kadeci, wbrew zakazowi władz wojskowych, całymi grupami uciekali i zaciągali się w szeregi powstańcze. Zyskali sobie szacunek towarzyszy broni i wyrazy uznania ze strony przełożonych. W walkach o Górę św. Anny, pod Gogolinem i Ząbkowicami, na przełomie maja i czerwca

poległo – między innymi – sześciu kadetów lwowskich: Karol Chodkiewicz, Henryk Czekaliński, Zbigniew Oszczółkowski, Zygmunt Toczyłowski, Zygmunt Zakrzewski i Zbigniew Zaszczyński. K. Chodkiewicz odznaczony został Orderem Virtuti Militari, a 39 innych kadetów Krzyżami na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi I i II klasy. Poległym nadano Krzyże Niepodległości. Nawiązana została serdeczna więź między Śląskiem a lwowskim Korpusem Kadetów, czego wyrazem było udekorowanie w r. 1931 chorągwi kadeckiej Krzyżem na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi, oraz wręczenie Miecza-Symbolu, wykutego ze stali śląskiej, jako daru Związku Powstańców Śląskich.

W latach dwudziestych większość kadetów trafiła do oddziałów bojowych.

Pamiętny w dziejach Korpusu Kadetów nr 1 we Lwowie stał się dzień 3 maja 1923, w którym kadeci otrzymali swą chorągiew. Niezwykły to sztandar: autentyczna chorągiew powstańcza z 1863 r., postrzępiona kulami moskiewskimi, przekazana im przez Lwowskie Koło Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Uczestników Powstania 1863/64 r. – z rąk Weteranów na placu Mariackim.

W styczniu 1928 r. dokonano pewnych zmian w statucie korpusów. Równolegle do kształcenia kadetów w zakresie programu gimnazjalnego, stosowano program wyszkolenia wojskowego w zakresie kursu unitarnego szkół podchorążych piechoty. Oprócz tego prowadzone były liczne sekcje zainteresowań, w ramach których działały chóry, orkiestry, krótkofalarstwo, modelarstwo, żeglarsstwo, krajoznawstwo, filatelistyka, kursy motoryzacyjne i jazdy konnej. Corocznie starsze kompanie wszystkich korpusów brały udział w manewrach – obozach letnich.

Rozkazem Marszałka J. Piłsudskiego zatwierdzono Święto Kadeta na dzień 21 maja (data wybuchu III powstania śląskiego). W 1933 r. Marszałek przyjął szefostwo Korpusu Kadetów nr 1 we Lwowie i nadał mu swoje Imię. W 21 egzaminach maturalnych tego korpusu 1021 kadetów uzyskało świadectwa dojrzałości.

Wzorowa organizacja korpusów kadeckich oraz wyniki osiągane przez kadetów w zakresie kształcenia ogólnego i wojskowego, a także rosnąca ich popularność wśród młodzieży stworzyły podstawę do utwo-

rzenia w 1925 r. 3. Korpusu Kadetów w Rawiczu. W 1926 r. Korpus nr 2 został ze względów zdrowotnych przeniesiony z twierdzy modlińskiej do Chełmna. W połowie lat trzydziestych stopniowo likwidowano Korpus nr 2 w Chełmnie i nr 3 w Rawiczu, a z ich resztek w 1936 r. utworzono nowy Korpus Kadetów nr 2 w Rawiczu. [...]

Tuż przed wybuchem II wojny światowej, w związku z napiętą sytuacją polityczną, Korpus nr 2 przeniesiono z Rawicza do Kielc – przygotowania budynków miały trwać rok, a jego kadeci mieli w tym czasie korzystać z gościniny w korpusie lwowskim. Ci z Rawicza, którzy zjawili się we Lwowie na nowy rok szkolny 1 września 1939, wzięli udział wraz z lwowskimi kadetami w Ochotniczych Oddziałach Obrony Lwowa. [...]

Wg obliczeń w I wojnie światowej (w jej ostatnim okresie 1919–21) zginęło 11 kadetów polskich, zaś w II wojnie – 411, w tym w wojnie obronnej 1939 r. – 125, w Powstaniu Warszawskim – 20, w partyzantce AK – 25, w walkach Polskich SZ na Zachodzie – 96, w walkach LWP – 14, w katowniach gestapo – 44, w katowniach NKWD i UB – 60, na nieznanach polach walk – 27.

Komendanci Korpusu Kadetów nr 1 we Lwowie

1918–20	ppłk Stanisław Hlavaty (Kraków)
1920–21	ppłk Alfred Jougan (Kraków)
1921–23	mjr Tadeusz Machalski
1923–27	ppłk Władysław Żebrowski
1927–29	ppłk Stanisław Władcki
1929	ppłk Antoni Łukasiewicz
1929–33	ppłk Kazimierz Florek
1933–38	ppłk Franciszek Wielgut
1938–39	ppłk Stanisław Daniluk
1939 (IX)	ppłk Władysław Kowalski

ZENON MALIK, ur. 1920 w Krakowie, syn legionisty, wychowanek lwowskiego Korpusu Kadetów im. Marszałka Piłsudskiego (1934–39). W czasie II wojny w AK, w latach powojennych pracownik spółdzielczości pracy. Honorowy przewodniczący Komitetu Opieki nad Kopcem Piłsudskiego w Krakowie, członek Światowego Związku Żołnierzy AK oraz organizacji kombatanckich i niepodległościowych, prezes Krakowskiego Klubu Związku Kadetów II RP, organizator Izby Pamięci Kadetów II RP przy kościele garnizonowym św. Agnieszki w Krakowie.

Archiwum

TRZY POŻEGNANIA: KOŚCIOŁA – MIASTA – DOMU WSPOMNIENIA Z OSTATNICH DNI WE LWOWIE – ROK 1946

(wyjątki z pamiętnika)

Trwaliśmy we Lwowie dłużej niż nasza parafia. Stopniowo zaczęto zamykać kościoły. Jako pierwszy zamknięto kościół św. Józefa – lecz wkrótce otwarto go w celu urządzania dancingów. Po zamknięciu kościoła św. Teresy mali „żulicy” wyważyli drugie drzwi, rozebrali organy i bawili się piszczałkami na ulicy. Po zamknięciu kościoła Bernardynów ludzie modlili się przy zamkniętych drzwiach ustrójonych kwiatami.

Wreszcie 4 czerwca 1946 r. przyszła kolej na nasz kościół św. Elżbiety. Zebrało się wiele ludzi, by uczestniczyć w ostatniej mszy św. W czasie mszy słychać było głośnie szlochanie. Po Podniesieniu niektóre kobiety mdlały lub dostawały histerycznych ataków. Ksiądz proboszcz prosił o zachowanie spokoju. Po zakończonej Ofierze ludzie żegnali się ze swoim proboszczem i całowali wszystkie ołtarze. Po zamknięciu naszego kościoła chodziłam z mamą do katedry.

W końcu nadszedł ten straszny dzień, gdy musiałam opuścić dom, w którym urodziłam się i urosłam. Pożegnawszy się z lokatorami naszej kamienicy, podeszłam do samochodu. Nie było już miejsca. Jasio wciągnął mnie na dach i mocno trzymał, bym nie zleciała. Jadąc, widziałam jak oddala się wszystko tak drogie i znane: kościół św. Elżbiety, ul. Lwowskich Dzieci, a jeszcze wczoraj widziałam tu tragarza, który pchając wyładowany wózek, śpiewał: *A gdybym się jeszcze raz urodzić miał – to tylko we Lwowie...*

Jadąc piękną aleją kasztanową ulicy Listopada, wyciągałam ręce do drzew i rwałam liście, chcąc zachować coś na pamiątkę tego pożegnania. Zajechaliśmy pod most Merkurego, widok był okropny. Jak okiem sięgnąć, nad torami i wzdłuż skarpy pod samą górę pełno skrzyń i ludzi, wszystko w wielkim błocie. W nocy dyżurowaliśmy przy naszym bagażu. Dopiero po południu następnego dnia podstawiono wagony. Powstało ogromne zamieszanie – na wagony czekało już kilka transportów normalnych, jak też dzikich. Wreszcie przydzielono wagon naszej 20-osobowej grupie. Po szybkim załadunku kufrów i pak zostało dla nas niewiele miejsca pod sufitem. Pociąg całą noc szybował. Wyjazd nastąpił przed południem. Były to bardzo smutne chwile, nigdy tego nie zapomnę. Cisza grobowa – wszyscy stali w szeroko otwartych drzwiach wagonu i płacząc patrzyli w kierunku oddalającego się miasta.

Po południu byliśmy już w Przemyślu. W czasie parogodzinnego postoju ojciec spotkał w naszym transporcie kolegów z chóru „Echo”. Odśpiewali kilka pieśni. Słuchaliśmy ze wzruszeniem, szczególnie dwóch ostatnich – ich słowa miały tam szczególną wymowę: *Pod Twą obronę, Ojczy na niebie, grono Twych dzieci swój powierza los...*, i drugą pieśń, tak często śpiewaną w katedrze lwowskiej:

*Śliczna Gwiazdo miasta Lwowa, Maryja,
Matko nasza i Królowo, Maryja,
Uciekamy się do Ciebie,
Bądź nam Matką tu i w niebie, Maryja,
O Maryja Królowo.*

Helena Leska

Aleksander Marczyński

UŁAN JAZŁOWIECKI WSPOMINA SWÓJ PUŁK

Tekst, który poniżej zamieszczamy, jest skrótem artykułu, ogłoszonego w kwartalniku „Studia Historyczne”, zeszyt 3/1992. Tytuł i śródtytuły pochodzą od naszej redakcji.

Początki historii 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich związane są z Dywizją Białoruską gen. Żeligowskiego. W latach 1918–19 formacja ta walczyła na ziemiach wschodnich przeciw bolszewikom i Ukraińcom. Utworzony w ramach owej dywizji pułk kawalerii, w czerwcu 1919 r. zajął kwatery pod Stanisławowem, a 11 lipca wojska ukraińskie podeszły pod Jazłowiec, zagrożając klasztorowi sióstr Niepokalanek, w którym znajdowała się cudowna statua NPM Jazłowieckiej.

BITWA POD JAZŁOWCEM

Mjr Konstanty Plisowski, zgodnie z rozkazem otrzymanym od gen. Żeligowskiego, przygotował szwadrony pułku do odrzucenia Ukraińców z Jazłowca i okolicy. Natarcia na ugrupowania nieprzyjaciela przeprowadzano wielokrotnie w najbliższym rejonie kolejnymi szarżami, m.in. plutonów dowodzonych przez ppor. Godlewskiego i plut. Walczyńskiego. W wyniku koncentrycznego natarcia Ukraińcy wycofali się, ponosząc poważne straty w zabitych i rannych oraz w sprzęcie wojskowym. Zacięte walki pod Jazłowcem toczono były od 11 do 13 lipca – odrzuceni z zajmowanych pozycji Ukraińcy wycofali się w panice. Zwycięstwo odniesione pod Jazłowcem przyniosło pułkowi rozgłos i sławę. Od owych zwycięskich dni datuje się szczególnie kult dla NPM Jazłowieckiej.

Ze wspomnień uczestników walk pod klasztorem wynika, że ważną rolę odegrała krążąca wśród ułanów legenda, iż w najkrytyczniejszej chwili walk, w dniu 11 lipca, ukazała się nad klasztorem, na tle jasnych obłoków nieba, promienna postać Najjaśniejszej Pani Jazłowieckiej. Z Jej opuszczonych rąk spływały snopy złocistych promieni, w których blasku ruszyli ułani do swej zwycięskiej i decydującej szarży.

Jazłowiec położony jest na południe od Buczacza, na Podolu. Początkowo należał do Buczackich, a następnie do Jazłowieckich, Sieniawskich, Radziwiłłów, Koniecpolskich, Lubomirskich, Potockich, Poniatowskich i Błażowskich. Na skutek licznych oblężeń i braku konserwacji stary zamek warowny popadł w ruinę. W wieku XVIII wojewoda braclawski Jan Aleksander Koniecpolski wzniósł poniżej ruin pałac, który w późniejszym okresie stał się siedzibą klasztoru.

Zgromadzenie Sióstr Niepokalanek zostało założone w roku 1857 w Rzymie przez Marcelinę Darowską i Józefę Karską. Jako główne zadanie przyjęło wychowanie pańien, opierając się na zasadach wiary, ducha narodowym i życiu rodzinnym.

W roku 1862 matka Marcelina przybyła na Podole w celu przeniesienia niepokalanek z Rzymu do ziemi ojczystej. W czasie poszukiwania odpowiedniego miejsca na klasztor wybrano Jazłowiec. W następnym roku przyjęła pałac ofiarowany przez Krzysztofa Błażowskiego na wieczyste użytkowanie, w zamian za bezpłatne wychowanie jednej panienki z rodu Błażowskich. Pałac w chwili przejścia był bardzo zrujnowany i wymagał gruntownego remontu, który został ostatecznie przeprowadzony. Otoczono go także pięknym parkiem. W dawnej sali balowej urządzono kaplicę. W niej to w roku 1883 umieszczona została przy ołtarzu statua Niepokalanej, dzieło wybitnego rzeźbiarza, profesora w Rzymie, Edwarda Sosnowskiego, uchodzącą z powstania listopadowego.

Na mocy rozkazu naczelnego wodza Józefa Piłsudskiego z dnia 12 VIII 1919 r. pułkowi nadano numer porządkowy 14 i nazwę *jazłowiecki*. Jak wynikało z rozkazu, nazwę tę pułk otrzymał za chwalebny i zwycięski bój w dniach 11–23 lipca 1919 r. w obronie klasztoru w Jazłowcu. Sztandar ułanów jazłowieckich ufundowany został z inicjatywy byłych wychowanek niepokalańskich z hr. Teresą Łubieńską na czele, przewodniczącą komitetu honorowego i wychowanką tego zgromadzenia.

Po bitwie pod Jazłowcem, w połowie sierpnia 1919 r. pułk w ramach dywizji toczył ciężkie walki na Podolu i Wołyniu. Również w połowie tego miesiąca stoczył bój pod Zastawiem, a 5 X przeprowadził samodzielny wypad na Jaruń. Zimą 1919–1920 wypooczywał w Żółkwi, uzupełniając szeregi nowymi poborowymi oraz ochotnikami.

W Tomaszowie Lubelskim 20 III 1921 r. Józef Piłsudski wręczając sztandar udekorował go Orderem Virtuti Militari, co było ogromnym wyróżnieniem. 9 lipca rozkazem pułkowym został ogłoszony świętem ułanów jazłowieckich. W wygłoszonym przemówieniu Marszałek podkreślił zasługi ułanów w walce przeciwko Ukraińcom i bolszewi-



Koronacja MB Jazłowieckiej w 1939 r.

W połowie kwietnia 1920 r. pułk powrócił na front, biorąc udział w wyprawie kijowskiej. W walkach z bolszewikami w zagonie na Koziatyn stoczył ciężkie walki z kawalerią Budionnego. Podjazdy pułku doszły wówczas do Korsunia i Kaniowa. W końcu maja doszło do ciężkiego boju pod Nastaszką, w początkach czerwca pod Rohożną i Antonowem.

8 VI pułk stoczył bój pod Wernyhorodkiem. W dniach od 9 VI do 7 VII trwały walki odwrotowe jednostek armii z Ukrainy. Pod koniec lipca doszło do ciężkiego boju pod Szczurowicami, a 14 VIII pod Niestanicą. W dniu 19 VIII pułk stoczył zaciętą walkę pod Dziubałkami i Żółtańcami, a w końcu sierpnia pod Komarowem. 12 IX doszło do boju pod Kosmowem, a następnie pułk wykonał zagon na Ołykę. W dniach od 8 X do zakończenia działań wojennych pułk brał udział w zagonie na Korosteń. Była to ostatnia walka ułanów jazłowieckich z bolszewikami.

kom w wojnie 1919–1920. Na stałe miejsce postoju pułku wyznaczony został Lwów. [...]

CO ROKU KONNO DO JAZŁOWCA

Porucznik W. Nowacki, uczestnik szarży pod Jazłowcem, na polu bitwy złożył ślubowanie, że jeśli przeżyje wojnę, to przybędzie do klasztoru konno, aby złożyć hołd Pani Jazłowieckiej za uratowanie życia. W roku 1927 stał się autorem modlitwy ułańskiej, do której melodię skomponował por. Jan Dłutek, kapelmistrz plutonu trębaczy pułku. Modlitwa była śpiewana w szwadronach. Realizując swoje zobowiązanie, po trzech dniach podróży z luzakiem, przybył konno 8 grudnia 1929 r. samotnie ze Lwowa do Jazłowca, gdzie został niezwykle serdecznie przyjęty przez matkę generalną, Wawrzynę Szaszkiewicz i całe grono sióstr. Jako wotum złożył lancę ułańską z proporczykiem pułkowym przy ołtarzu, obok statuy Pani Jazłowieckiej. Co roku od tego dnia do Jazłowca 8 grudnia, na uroczystości Niepokalanego Poczęcia,

przyjeżdżał patrol ułański z najmłodszymi oficerami z ostatniej promocji. Ta tradycja trwała do wybuchu II wojny światowej.

W dniu 11 lipca 1933 roku, w piętnastolecie powstania pułku, na dziedzińcu koszar na Łyczakowie, odsłonięty został obelisk poświęcony pamięci zwycięskich bojów i tych, którzy w nich ponieśli bohaterską śmierć, głosząc chwałę pułku i polskiej kawalerii. Na obelisku wymieniono miejsca stoczonych bitew z bolszewikami. Odsłonięcia dokonał gen. dyw. Juliusz Rómmel w obecności dowódcy pułku ppłk. Andrzeja Kunachowicza.

W dniu 7 XII 1933 r. do klasztoru w Jazłowiecu przybył pluton honorowy pułku ze sztandarem oraz plutonem trębaczy. Wraz z zaproszonymi gośćmi przyjechał wspomniany już gen. bryg. Plisowski, pierwszy dowódca pułku. Nazajutrz, po uroczystej mszy świętej, kapelan dokonał poświęcenia sztandaru, który został złożony u stóp Pani Jazłowieckiej.

W imieniu dowódcy pułku zabrał głos mjr Zygmunt Miłkowski, powiedział m.in.: *W imieniu 14 Pułku Ułanów, w dniu święta Patronki oraz w XV rocznicę powstania pułku i na pamiątkę bitwy pod Jazłowcem, składam u stóp Pani Jazłowieckiej w najpokorniejszym hołdzie ryngraf z odznaką pułkową jako wotum.* Żegnając 9 XII 1938 ułanów wracających do Lwowa, matka generalna zwróciła się do nich ze słowami: *Czołem, ułani*, a ci odpowiedzieli: *Czołem, matko generalna*.

KORONACJA JAZŁOWIECKIEJ PANI

25 V 1939 r. Ojciec Święty Pius XI wydał *breve* koronacyjne, w którym stwierdził, że jazłowiecki posąg *Błogosławionej Dziewicy Niepokalanej* *stynie cudami i łaskami. Do życzeń wiernych ochotnie i chętnie się składamy, a czynimy to dla wzmożenia pobożności Polaków do Bogarodzicy* – podkreślił papież.

Matka przełożona Zenona Dobrowolska zwróciła się z prośbą do rzymskokatolickiego metropolity lwowskiego, arcybiskupa dr. Bolesława Twardowskiego, o pozwolenie rozpoczęcia starań o koronację posągu przez papieża. Wśród wielu próśb skierowanych do Rzymu nie brak było również próśb 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. [...]

dokończenie na ss. 56–57

Jan Wojciech Wingralek

WSPOMINAM DYREKTORA BOBROWSKIEGO

Minęły cztery lata od przedwczesnej śmierci dyrektora oddziału krakowskiego **ENERGOPOLU** we Lwowie, mgra Józefa Bobrowskiego. *Wspaniałe dzieło odbudowy Cmentarza Orląt przez niego podjęte i rozwinięte, obecnie kontynuowane jest przez warszawski ENERGOPOL, działający na zlecenie Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Trudności, jakie ona dziś musi pokonywać, nasi Czytelnicy dobrze znają...*

Inżynier Wingralek, wieloletni współpracownik Józefa Bobrowskiego, wspomina tę niezwykłą postać.

Czy to, że dane mi było poznać Pana Dyrektora Józefa Bobrowskiego i że mogłem z Nim pracować na co dzień tam, gdzie *lwowskie śpią Orlęta*, w czasie, w którym Polska odżywała po zniewoleniu moskiewskim, a świat wokół nas przyspieszał zmiany, w czasie pielgrzymek do Ojczyzny papieża Polaka, i to, że poznałem także właśnie tam i wtedy wielu wspaniałych Polaków, współczesnych bohaterów, jak śp. ks. biskup Rafał Kiernicki czy Czesława i Eugeniusz Cudzikowie – czyż to nie znak Opatrzności Bożej?

Było to wiosną 1988 roku. Pana Dyrektora poznałem w jego gabinecie w biurowcu-baraku bazy „Energopolu” w miejscowości Pasieki Zubrzyckie, przy południowej obwodnicy Lwowa, tuż przy wylocie ulicy Zielonej. Przyjął mnie bardzo serdecznie i życzliwie – tak jak kogoś znajomego. Wysłuchał moich odpowiedzi typowych, tj. co do tej pory robiłem i gdzie pracowałem, skąd pochodzi moja rodzina, a dowiedziawszy się, że z Nowego Sącza, wyraźnie się ucieszył i całość wstępnej rozmowy podsumował: – *W takim razie bardzo na pana liczę. Zatrószczył się obojętnie o pokój z biurkiem dla mnie (był wspólny sekretariat) i pokój, w którym zamieszkałem. Tak się zaczęło...*



Nawet się nie zorientowałem, jak i kiedy przesiąknąłem pasją ratowania od zapomnienia Orłąt Lwowskich. Teraz nie mam najmniejszej wątpliwości, że Opatrzność i głos Ojca Świętego Jana Pawła II miały przemożny wpływ na naszą postawę. Otwierały się nasze oczy i serca, uświadamialiśmy sobie naszą polską tożsamość, mimo zagłuszania w mediach przez moskiewsko-peerełowską propagandę.

Nasz Szef miał wspaniały dar, którym się z nami dzielił – dar zjednywania dla sprawy, którą uważał za najważniejszą: przerwać unicestwianie Cmentarza Obrońców Lwowa! Jakże zdumiewające było, że my, zatrudnieni na energopolowskich budowach na ziemi *imperium zła* – zostaliśmy ogarnięci pasją ratowania tego świętego miejsca! My, bardziej obznajomieni z techniką, a nie z historią czy literaturą, edukowani według programu moskiewskiego, po prostu – *wykształceńcy*...

„Winnym” był Pan Dyrektor. On inicjował mnóstwo spacerów po tym miejscu na ziemi, które właśnie dzięki Niemu pokochaliśmy bardzo szybko. Spotkania w Katedrze, na cmentarzu Łyczakowskim, wypadły tam, gdzie *Lwowskie śpią Orłęta*, były niezapomnianymi lekcjami z niezapomnianym Nauczycielem.

Cmentarz Orłąt, sprofanowany i zniszczony, spełniał wtedy dla miejscowych barbarzyńców wiele funkcji: zakładu kamieniarskiego, szlifierni, wytwórni betonu, garaży, kotłowni – zlokalizowanych przeważnie w katakumbach, gdzie dobudowano kondygnację i kilka przybudówek. Na kwaterach z mogiłami Zasłużonych wylewano formy, szlifowano kamienie, jeżdżono ciężkim transportem, wożąc cement, kruszywo, prefabrykaty... Na kilkuset mogiłach wybudowano mur i poprowadzono ulicę, odcinając od cmentarza ok. 300 mogił.

Po praktycznych lekcjach z takim Nauczycielem nie można było pozostać obojętnym. Często zwracał się do nas ciepłymi słowami: *moje dziecko... czy pamiętasz, że...* I tu wymieniał, powtarzał zadania, na których szczególnie mu zależało. Były to oczywiście zadania dotyczące Orłąt Lwowskich oraz związane z tym sprawy Polaków, tu mieszkających. Doskonale pamiętam słowa pana Józefa, słowa życzliwe, mądre, cierpliwe, m.in. o tym, że:

– to, że budujemy wiele obiektów związanych z gazociągami, będzie wcześniej czy później zapomniane, ale to, że ratujemy Orłęta, pozostanie w pamięci Polaków na zawsze,

– musimy organizować jak najczęściej spotkania z Polakami, którzy mimo skrajnie trudnych warunków życia, miejsca tego nie opuścili,

– jest naszym obowiązkiem udzielanie wszelkiej pomocy Polakom we wszystkich działaniach, a przede wszystkim w organizowaniu stowarzyszeń, integrujących naszych rodaków. Wtedy właśnie uczestniczyliśmy w opracowaniu statutu i organizowaniu oddziałów terenowych Towarzystwa Kultury Polskiej, byliśmy wśród członków-założycieli,

– Polskę czekają procesy przeobrażenia, trudne i żmudne, a będąc świętym ekonomistą, często odkrywał przed nami dla niego powody oczywiste, że Polska niebawem odejdzie od sztucznej gospodarki,

że musi to pociągnąć za sobą liczne ban-
kructwa, głównie państwowych przedsię-
biorstw-molochów, produkujących na po-
trzeby imperium moskiewskiego, że będzie
duży problem bezrobocia...

No i doczekaliśmy się dnia 20 maja 1989
roku! Tak jak nigdy nie zapomnę pierwszych
ruchów łopata, pierwszych cięć lemieszem
spychacza ponad metrowej warstwy ziemi,
gruzu i śmieci nad mogiłami, pierwszych
ścinanych drzew i krzewów, pierwszej tyżki
koparki ładującej na kamaza, a przede wszyst-
kim „wyrosłych” nagle, jak spod ziemi, na-
szych wspañiałych rodaków-lwowiaków, ich
oczu i twarzy pełnych życia i woli działania,
usuwania gołymi rękami wszystkiego, co

zasłaniało mogiły ich Orląt – tak nie zapo-
mnę nigdy rozpromienionej, uszczęśliwio-
nej twarzy naszego Dyrektora, kochanego
pana Józefa Bobrowskiego! Był to dzień,
w którym wspólnie z miejscowymi Polakami
zatrzymaliśmy unicestwienie Cmentarza
Obrońców Lwowa.

Niestety w 1995 r. Lwowskie Orleńta
zabrały do siebie Józefa Bobrowskiego,
swojego opiekuna, a naszego przyjaciela.
Co roku, w rocznicę Jego śmierci w Kate-
drze lwowskiej, odprawiana jest msza św.
w Jego intencji, bo lwowianie pamiętają
ile zrobił dla ratowania kultury polskiej,
zarówno we Lwowie, jak i na Kresach
południowo-wschodnich.

SYLWETKI

PREZYDENT KRAKOWA W 1939 ROKU

Okres ostatnich miesięcy przed wybu-
chem II wojny światowej był dla Krakowa
dramatyczny, nie tylko ze względu na zbli-
żający się kataklizm dziejowy. Powstał tu
problem... wyboru ojca miasta!

Wybory do Rady Miejskiej odbyły się
w grudniu 1938 r. Powstała jednak sytuacja
patowa, bo sanacja (z którą był związany
dotychczasowy prezydent Mieczysław Ka-
plicki) przepadła, Stronnictwo Narodowe
miało zbyt mało głosów, a największą ich
liczbę – o 1 więcej niż sanacja (!) – otrzymali
socjaliści (PPS) i Klasowe Związki Zawo-
dowe. Zebranie przeto 37 głosów, wymaga-
nych ustawowo do wybrania prezydenta,
stało się niemożliwe. W takiej sytuacji mi-
nister spraw wewnętrznych ustanowił pre-
zydenta komisarzyckiego, a został nim
dr Bolesław Czuchajowski. Przyszło mu rzą-
dzić Krakowem tylko przez cztery miesiące.

Czuchajowski urodził się w 1896 r. we
Lwowie. Szkoły ukończył w Rzeszowie, stu-
dia prawnicze i ekonomiczne w Krakowie.
W czasie I wojny walczył w Legionach, był
nawet ranny. Po wojnie został sędzią – na
krótko w Nowym Targu, potem w rodzinnym
Lwowie. Był tam równocześnie działaczem
Towarzystwa Szkoły Ludowej (TSL). W 1929 r.
zaoferowano mu stanowisko wiceprezesa

Sądu Okręgowego w Krakowie, przeniósł
się więc do tego miasta, by po 10 latach
zostać jego komisarzyckim prezydentem.

Los nie był jednak dla Czuchajowskie-
go łaskawy. Na 4 miesiące jego rządów
(1 V – 3 IX 1939) przypadł trudny okres przy-
gotowań do wojny. Na dzień 2 września
władze państwowe nakazały ewakuację
z miasta władz, urzędów i szczególnych in-
stytucji. Czuchajowski zarządził zorganizo-
wanie transportu dla wywiezienia specjal-
nych dokumentów, które nie mogły wpaść
w ręce Niemców. Na kierowanie ewaku-
acją wyznaczono samego Czuchajowskie-
go, a wskazanym celem wyprawy były Brze-
żany. Wyruszone 3 września, w tym dniu
więc zakończyła się prezydentura Czucha-
jowskiego.

Konwój dotarł do Brzeżan, lecz wobec
agresji sowieckiej jego uczestnicy wycofali
się do Lwowa, a następnie wrócili do Kra-
kowa. Aresztowany przez gestapo, Bolesław
Czuchajowski został wywieziony do Au-
schwitz i tam zastrzelony 3 lipca 1940 r.

Antoni Grochal

CZTERECH Z KAMIONKI

Wywieźli ich zimową nocą w czterdzie-
stym roku. Rodzice Kołodziejowie i ich czte-
rej synowie ze wsi Julianka k. Kamionki
Strumiłowej mieli 15 minut na spakowa-
nie się. Potem była długa podróż *na białe
niedźwiedzie*, aż pod Archangielsk. Z ty-
siącami innych zesłańców i więźniów łą-
grów zimą wycinali lasy, latem spaliali je

rzeką do Morza Białego. Trzymali się razem, więc przetrwali. Szczęśliwie po dwóch latach, gdy w Związku Sowieckim zaczęło się tworzyć polskie wojsko, mogli opuścić tamten podbiegunowy kraj, by po paromiesięcznej podróży dotrzeć do tropikalnego Uzbekistanu (skądinąd wiemy, że wielu ludzi, szczególnie dzieci, nie mogło przeżyć tej zmiany klimatu – marli setkami).

Morzem Kaspijskim przewieziono ich – półżywych z niedokarmienia, wyczerpanych – do Iranu. Tam, i potem w Iraku powoli wracali do sił. Przyzwyczajali się stopniowo do mięsa, o którym w Rosji zapomnieli. Otrzymali wojskowe mundury. Z Rosji wydostali się też rodzice, jako rodzina wojskowych.

W końcu musieli się rozstać – na resztę wojennego czasu. Spotkali się wszyscy po latach w Ameryce.

Najstarszy M i c h a ł dostał się do lotnictwa, wyszkolili go w Anglii. Znalazł się w Dywizjonie 304. Brał udział w wyprawach bombowych nad Niemcy oraz w patrolowaniu Kanału La Manche i Zatoki Biskajskiej. Był radiotelegrafistą i strzelcem pokładowym.

F e l i k s a przydzielono do broni pancernej. Był uczestnikiem zdobywania Monte Cassino.

T a d e u s z znalazł się w jednostce remontowej pojazdów wojskowych.

Najmłodszy J a n wydostał się z Rosji właściwie psim śwędem. Miał lat 15, ale mu ich dodano, by mógł wyjechać jako kandydat do wojska. W Iraku już nie trzeba było ukrywać prawdziwego wieku, więc skierowano go do polskiej szkoły mechanicznej w Palestynie. Trzeba było też nadrobić lata stracone w Rosji. Jan marzył o lotnictwie, więc go wysłano do Egiptu, do polskiej szkoły lotniczej, będącej zarazem gimnazjum, gdzie dwie klasy przerabiano w jednym roku. Potem, już w Ameryce, wykształcił się na studiach wieczorowych na inżyniera. Został szefem działu w zakładach Forda.

Wszyscy więc bracia Kołodziejowie po wojnie kolejno osiadali w Stanach Zjednoczonych. Pożenili się, założyli rodziny. Mieszkają w okolicach Detroit. Bywają w Polsce, a co ważniejsze, przyjeżdżają tu też ich dorosłe dzieci. Może dotrą kiedyś do Kamionki Strumiłowej? Serdecznie życzymy.

Powyższą historię zaczerpnęliśmy (w skrócie) z „Dziennika Polskiego” 204/98.

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO HISTORYCZNY

BIEŁOSKO

Folwark za rogatką Zieloną, przy drodze Sichowskiej pod Lwowem (współcześnie ul. Zielona), wcześniej zwany *Belloskie*, od nazwiska Tomasza Belli, rajcy miasta z końca XVII w., właściciela tej posiadłości. Na przełomie XIX/XX w. był w rękach rodziny Herzmanków, a następnie własnością ks. Wandy Czartoryskiej, która ofiarowała go na rzecz Szkoły Gospodarczej w sąsiednim Snopkowie. Nazwa Bielosko w latach międzywojennych była już zapomniana. (A.C.)

HOŁOSKO WIELKIE I MAŁE

Wsie podmiejskie, pierwsza położona o 4 km, druga o 3 km na płn. od Lwowa. Sąsiadują od wsch. i pld. z Kleparowem i Zamarstynowem (oba zob.), od płn. z Brzuchowicami (zob. CL 3/96), od zach. z Rzęsną Polską. Przebiegająca tędy Półteń włącza obszar obu wsi do dorzecza Wisły. Od strony płn. wznoszą się wzgórza (360 m n.p.m.), należące już do Roztocza.

Początek Hołoska W. dało założenie w 1402 r. przez Piotra Zimmermanna folwarku na podmiejskim uroczysku (nazwa figuruje już w aktach sądowych z 1413 r.). Katarzyna z Zimmermannów sędziowała folwark na rzecz swego męża Januszka, poborcy podymnego. Z czasem powstała tu osada. W 1422 Jan Zimmermann założył w sąsiedztwie drugi folwark, nazwany Hołosko Małe. W 1470 r. rada m. Lwowa zezwoliła mieszczaninowi Janowi Hanelowi na sprowadzenie na teren Hołoska osadników, którzy mieli wpłacać czynsz do kasy miejskiej.

Później, już w w. XVI, obie wsie należały do rodziny Szymonowiczów, krewnych poety Szymona Szymonowicza (Szymonowica), pierwszego sielankopisarza polskiego. W latach 1610 i 1615 ławnicy lwowscy zakupili tereny w Hołosku W. i M., by pobudować sobie dworki. Część dochodów z tych posiadłości zasilala kasę miejską. W 2. poł. XIX w. własność większa w Hołosku należała do m. Lwowa. Na pocz. XX w., wykorzystując tamtejszy mikroklimat, który Hołosko zawdzięczało okolicznym lasom szpilkowym, założono tam sanatorium dla chorych na płuca. (M.T.)

Z TAMTEJ STRONY

W SPRAWIE ORŁĄT

Ze Lwowa otrzymaliśmy kopię następującego dokumentu:

OŚWIADCZENIE

Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie, reprezentująca polską mniejszość narodową na Ukrainie i broniąca jej praw, wyraża zaniepokojenie z powodu ostatnich wydarzeń dotyczących renowacji Cmentarza Orłąt we Lwowie.

W Prawie Ukrainy o mniejszościach narodowych na Ukrainie, które weszło w życie 25 czerwca 1994 r., w artykule 6. jest napisane: *Zabytki historyczne i kulturalne mniejszości narodowych na terenie Ukrainy są pod ochroną prawa.*

Rzeczpospolita Polska i Ukraina podpisały w dniu 29 sierpnia 1994 r. Umowę o ochronie miejsc pamięci i spoczynku ofiar wojny i represji politycznych w oparciu o Traktat między Rzeczpospolitą Polską a Ukrainą o dobrym sąsiedztwie, przyjaznych stosunkach i współpracy, zawartym 30 grudnia 1992 r. Umowa – artykuł 4.2. zaznacza:

Każda z umawiających się Stron na swoim terytorium państwowym będzie sprzyjać przedsięwzięciom drugiej Umawiającej się Strony w zakresie urządzania miejsc pamięci i spoczynku oraz uczczenia pamięci poległych i pomordowanych. Mogą być przy tym wykorzystane symbole narodowe i religijne.

Podpisana przez Ukrainę 15 września 1995 r. i ratyfikowana w roku 1998 Konwencja Ramowa Rady Europy o Ochronie Mniejszości Narodowych zobowiązuje wszystkie państwa członkowskie do respektowania wynikających z niej zobowiązań i zdecydowanej realizacji zasad, określonych w ramach ustawodawstwa krajowego i stosownych programów rządowych. W części pierwszej artykułu 5.1. jest napisane:

Strony zobowiązują się wspierać tworzenie warunków, koniecznych do utrzymania i rozwijania przez osoby należące do mniejszości narodowych ich kultury, jak również zachowania zasadniczych elementów ich tożsamości, to jest ich religii, języka, tradycji i dziedzictwa kulturowego.

Nieprzestrzeganie ww. uzgodnień, niepodporządkowanie się i ignorowanie rozporządzeń rządowych Ukrainy, powtarzające się od kilku lat blokowanie prac renowacyjnych Cmentarza Orłąt przez władze lokalne Lwowa, akty wandalizmu ze strony ukraińskich skrajnie nacjonalistycznych ugrupowań politycznych, zniekształcanie naszej historii, wywołuje rozgoryczenie polskiej mniejszości narodowej, wzmacnia poczucie braku bezpieczeństwa i niepewności jutra.

Istniejąca sytuacja nie sprzyja polsko-ukraińskiemu zbliżeniu, niweluje wieloletnie mozolne wysiłki w kierunku pokonywania zaszczości historycznych, budowanie międzyludzkich dobrosąsiedzkich stosunków, wręcz przekreśla dotychczasowe osiągnięcia w dążeniu ku Wspólnej Europie ze strony Rządów obydwu Państw oraz Polskich Organizacji Mniejszościowych na Ukrainie i Ukraińskich Organizacji Mniejszościowych w Polsce.

Apelujemy do Rządów Rzeczypospolitej Polski i Ukrainy o podjęcie stanowczych i zdecydowanych kroków w celu definitywnego rozstrzygnięcia problemu.

Za Zarząd FOPnU
Lwów-Kijów,
dnia 10.08.99 r.
Emilia Chmielowa,
prezes

I.dz. 150/9
Teresa Dutkiewicz,
sekretarz

Powyższe pismo zostało przekazane marszałkowi Sejmu M. Płażyńskiemu w czasie jego pobytu we Lwowie w sierpniu br., marszałkowi Senatu A. Grześkowiak, Ministerstwu Spraw Zagranicznych RP oraz innym instytucjom i osobom, zajmującym się sprawami Polaków za granicą.

W Krakowie i dalej

U MATKI BOSKIEJ ŻÓŁKIEWSKIEJ

W sierpniu br. odbyła się już trzecia ogólnopolska pielgrzymka **MLiKPW** do sanktuariów na terenie RP, związanych przed II wojną z Ziemią Południowo-Wschodnią. W 1997 r. spotkano się w Dukli u grobu św. Jana, w 1998 w Szymanowie u MB Jazłowieckiej (obie pielgrzymki opisywaliśmy), w tym roku zaś w Warszawie.

W piękny sobotni poranek 21 sierpnia wyruszyła grupa krakowska do otoczonego kultem cudownego obrazu Niepokalanej Królowej Różańca Świętego – zwanej Matką Boską Żółkiewską – do Warszawy.

Zgodnie z tradycją, ten sobotni dzień przeznaczono na zwiedzanie mijanych atrakcji turystycznych. Najpierw więc gniazdo Rejów – Nagłowice k. Jędrzejowa. W ładnym dworze (który Mikołaja oczywiście nie pamięta) obejrzeliśmy izbę pamięci poety, a przy okazji wręczyliśmy pani kustosz pamiętkę dla biblioteki muzealnej: książkę Stanisława Wasylewskiego o Mikołaju Reju, wydaną w latach międzywojennych, z następującą dedykacją:

Tę książkę o Ojcu Poezji Polskiej, urodzonym w Ziemi Lwowskiej, napisaną przez lwowianina i we Lwowie wydaną – która należała niegdyś do lwowianina Stanisława Strzelbickiego, a nam została ofiarowana przez lwowiankę Wandę Olszewską, jedną z pierwszych pilotek polskich – składa w darze dla Muzeum Mikołaja Reja w Nagłowicach

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Krakowie.

W roku 430 rocznicy śmierci Mikołaja Reja, 21 sierpnia 1999.

W Zagnańsku podziwialiśmy tysiącletni dąb *Bartek*, w którego cieniu – według tradycji – zasiadali Bolesław Krzywousty,

KASTELÓWKA

Obszar w pld.zach. części Lwowa, rozciągający się wzdłuż potoku i drogi (współcześnie ulicy) Wuleckiej w kierunku pln.zach. (naprzeciw wzgórz Wuleckich), wraz z wysoką skarpą i ponad nią, aż do drogi Krzyżowej (później ul. A. Potockiego), ograniczony późniejszymi ulicami Lenartowicza i Issakowicza. Nazwa (zapomniana w latach międzywojennych) pochodziła od mieszczańskiej rodziny Castelletich, przybyłej do Lwowa w XVII w. z Włoch, która miała tam swoją posiadłość. Osią tego obszaru jest ul. Nabelaka (nazwa nadana w 1895 r.), której nieprosty przebieg powtarza dawny układ dróg w obrębie posiadłości. (A.C.)

KLEPARÓW

Niegdyś wieś podmiejska, położona na pln. zach. od Lwowa, sąsiadująca od strony pln. z Hołoskiem Małym (zob.), od pld.zach. z Bilo-horszczem, a od zach. z Rzęsną Polską. Na obszarze Kleparowa wznosi się Kortumowa Góra (379 m n.p.m.). Od średniowiecza była własnością gminy m. Lwowa, wzmiankowana w 1419 r. Nazwa pochodzi od folwarku *Klopperhof*, założonego w 1430 r. przez Andrzeja Klopopera, lwowskiego bankiera i kupca. W XVI w. uprawiano tu winnice, o czym wspominają akta miejskie, gdyż tutejsze winnice i blichy przynosiły znaczne dochody, które rajcy miejscy obracali wyłącznie na swoją korzyść. W nowszych czasach uprawiano tu słynne *czerechy kleparowskie*, gatunek którego zalety docenili ogrodnicy niemieccy, zaprowadzając go u siebie. Na pocz. XX w. większość mieszkańców porzuciła sadownictwo na rzecz bardziej intratnej murarki.

W 1880 r. Kleparów liczył ponad 1000 mieszkańców, dla których parafią był nieodległy kościół św. Anny przy ul. Gródeckiej we Lwowie, a dla grekokatolików cerkiew św. Jura.

Na Górze Kortumowej (nazwa pochodzi od dawnego właściciela posiadłości, hr. Kortuma), zwanej też *Górą Stracenią*, w 1846 r. zostali powieszeni działacze narodowi Teofil Wiśniowski i Józef Kapuściński. Pod koniec XIX w. powstał tam poświęcony im pomnik, dzieło rzeźbiarza lwowskiego J. Markowskiego (zarazem autora pomników J. Kilińskiego i B. Głowackiego we Lwowie). Na Kleparowie znajduje się monumentalny *Dom Inwalidów* (rzeźby, które go zdobiły, wykonali C. Godebski i A. Perier). Był też browar i duże kąpielisko wojskowe. W 1942 r. Niemcy utworzyli tu obóz dla Żydów.

Nazwa Kleparowa, podobnie jak Łyczakowa lub Zamarstynowa, wiąże się z lwowskim miejskim i przedmiejskim folklorem. (M.T.)



Kazimierz Wielki i Jan III. Stąd niedaleko do Oblęgorka, pałacyku Henryka Sienkiewicza, dziś muzeum. Pokoje na parterze zachowały wygląd i wyposażenie z czasów pisarza.

Dzień pełen wrażeń zakończył się noclegiem na pięknym kempingu w Tułowicach za Puszczą Kampinoską. Po wypoczynku nocnym w sosnowym lesie wyruszyliśmy do Warszawy, głównego celu naszej wyprawy – odwiedzin Matki Boskiej Żółkiewskiej w kościele oo. Dominikanów na Służewie.

W świątyni wypełnionej przez liczne z całej Polski przybyłych kresowian, mszę św. celebrował ks. biskup Zbigniew Kraszewski, w koncelebrze z o. Adamem, ks. Januszem Popławskim, ks. Bazylim Pawełko – proboszczem żółkiewskim, i jeszcze dwoma innymi ojcami dominikanami. Uroczystość uświetnił poczet ze sztandarem i chór warszawskiego oddziału AK. Kazanie wygłosił ogólnopolski kapelan TMLiKPW, a zarazem prezes warszawskiego oddziału Towarzystwa, główny organizator tej uroczystości. Nawiązał do historii Cudownego Obrazu, którego 70. rocznica koronacji w Żółkwi mija w tym roku. Obraz ten w latach 1653–1945 znajdował się w kościele oo. Dominikanów w Żółkwi, fundacji Teofili Sobieskiej, matki króla. Od II wojny jest w Warszawie, w kaplicy przy nowej, ogromnej świątyni dominikańskiej, zbudowanej w latach powojennych – warto wiedzieć, że pierwszym proboszczem

był tam nasz o. Adam Studziński (urodzony w okolicy Żółkwi).

Głównymi jednak wątkami kazania było wołanie i prośba do Matki Boskiej o jedność Polaków, także w szeregach kresowian – ks. Janusz przytoczył liczne listy, świadczące o zrozumieniu wśród członków Towarzystwa tej ważnej sprawy – a także problem poruszony w liście oddziału krakowskiego, zwracający uwagę na bolesny fakt ograniczania języka polskiego w kościołach rzymskokatolickich na Wschodzie. To przecież dzięki postaci Polaków Kościół Rzymski przetrwał na tamtej ziemi...

Na zakończenie mszy św. ksiądz biskup w serdecznych słowach pozdrowił kresowian i podkreślił, że i jego rodzina wywodzi się z lwowskiej archidiecezji.

Ogólne zebranie uczestników pielgrzymki odbyło się w dużej sali klasztoru przy kościele. Dr Andrzej Kamiński, prezes Zarządu Głównego TMLiKPW, po powitaniu ks. bpa Kraszewskiego, ojców dominikanów i wszystkich zebranych, złożył krótkie sprawozdanie z rocznej działalności ZG, ze szczególnym uwzględnieniem spraw odbudowy Cmentarza Orłąt we Lwowie. Następnie ks. Bazyl Pawełko opowiedział o działalności, osiągnięciach i problemach swojej parafii i kościoła w Żółkwi.

Proboszczem jest tam od 10 lat, pochodzi z rodziny polskiej, seminarium ukończył w Rydze. W r. 1989, po 43 latach zniszczeń i dewastacji, żółkiewska kolegiata została no nowo poświęcona przez ks. bpa Rafała Kiernickiego. W latach 60. zostały ze świątyni zabrane słyn-



ne ogromne obrazy batalistyczne, związane z rodami Żółkiewskich i Sobieskich, a przedstawiające bitwy pod Wiedniem, Parkanami, Chocimem i Kłuszynem.

Po przejęciu kolegiaty rozpoczęto tam prace porządkowe i renowacyjne, finansowane przez „Wspólnotę Polską”, polską Fundację Ochrony Zabytków oraz polskie Ministerstwo Kultury i Sztuki. Część prac konserwatorskich wykonują studenci ASP z Warszawy i Krakowa, nieodpłatnie, w okresie ferii letnich. Dużą pomoc świadczą prywatni darczyńcy z całej Polski i ludność miejscowa. W najbliższym cza-

nie ma być oddany budynek plebanii, który wymaga kapitalnego remontu.

W 1997 r. oo. dominikanie ofiarowali wierną kopię obrazu MB Żółkiewskiej do Kolegiaty. Na msze św. przychodzi ok. 100 wiernych dorosłych i 30 dzieci. Szczególnie nabożeństwa odprawiane przed obrazem MB gromadzą wielu wiernych z Żółkwi i okolic. Od 5 lat działają tam ss. dominikanki, które uczą religii (ok. 60 dzieci) i języka polskiego. Na naukę przychodzą także dzieci z rodzin ukraińskich.

Kościół Dominikanów jest użytkowany przez cerkiew grekokatolicką. Stosunki naszego Kościoła z Cerkwią układają się poprawnie.

Na apel Zarządu złożono wolne datki na potrzeby Kościoła w Żółkwi. Po spotkaniu żołnierze WP poczęstowali nas doskonałym bigosem, a firma Blikle – pączkami.

Po zakończeniu programu udaliśmy się na Żoliborz, do grobu ks. Jerzego Popiełuszki. Po krótkiej modlitwie złożyliśmy tam czerwoną różę, ofiarowaną nam w kościele przez ks. Janusza. Zwiedziliśmy też kościół św. Stanisława Kostki, pełen tablic pamiątkowych z II wojny – nie brak tam wielu pamiątek lwowskich i kresowych.

LWÓW (rozwój i ustrój)

Osada, związana z postaciami książąt halickich Daniela i Lwa, została założona ok. 2. połowy XIII w. Dotychczasową ich stolicą był Halicz nad Dniestrem, ten jednak, nękany przez napierających nieustannie Tatarów, okazał się miejscem niemożliwym do pełnienia funkcji siedziby władcy i jego otoczenia. Znalaziono wówczas – w okolicy słabo zaludnionej – trudno wtedy dostępne, lecz strategicznie korzystne miejsce, odpowiednie do założenia nowej siedziby książęcej.

Nie jest to jeszcze w pełni naukowo uzasadnione, istnieją atoli logiczne poszlaki, iż miejsce wybrane przez Daniela nie było dziewicze, lecz że istniała tam osada od dawna. Jej mieszkańcy byli zapewne Łędzianami – należeli do plemienia zachodniosłowiańskiego (pokrewnego Wiślanom i Polanom), które zaludniało południowo-wschodnie rubieże państwa Mieszka i jego poprzedników, zaanektowane z końcem X wieku przez księcia kijowskiego Włodzimierza. Świadczy o tym zapis w kronice Nestora, który mówi o zabranii Lachom ich grodów w 981 roku. Dotyczy to terytorium tzw. Grodów Czerwieńskich, na których dopiero po niemal trzech wiekach powstanie Lwów księcia Daniela.

Miasto – w rozumieniu większego skupiska ludności, które istniało, gdy objął je w latach 1340–49 król Kazimierz Wielki – było raczej osadą, powstałą samorzutnie wokół nowej siedziby książęcej i nie miała wyglądu miejskiego. Składała się z luźno pobudowanych drewnianych domków, rozrzuconych bezplanowo (jak inne miasta ruskie), wśród zarośli, łąk i upraw. Zbudowana ta tworzyła trzy „dzielnice” – ruską, niemiecką (zasiedloną przez przybyszów ze Śląska) i ormiańską. Murowane były przypuszczalnie tylko budynek mieszkalny księcia i cerkiew dworska św. Mikołaja, otoczone murem. Każda z wymienionych nacji rządziła się oddzielnie, przy czym Niemcy posługiwali się prawem magdeburskim a własny samorząd mieli również Ormianie, oparty na zasadach, przyniesionych z ojczyzny Armenii. Natomiast Rusini podlegali bezpośredniej władzy (dość samowolnej) księcia i jego urzędników, dopiero od XII w. znaczenia zaczęli nabierać bojarzy.

Lwów stał się miastem w pełnym tego słowa rozumieniu dopiero wtedy, gdy założono go i zbudowano na nowo – wg planu regulacyjnego, zgodnie z poziomem cywilizacyjnym zachodniej Europy tamtej epoki. Podstawą był przywilej lokacyjny, oparty na stosowanym ówczesnie w Polsce prawie magdeburskim, określającym strukturę władzy administracyjnej i sądowniczej miasta, jej

Na koniec przejechaliśmy przez główne ulice Warszawy, obserwując zmiany, jakie tam zachodzą.

Wyprawa udała się wspaniale. Nawet awaria autobusu pod Grójcem i dwugodzinny przymusowy „odpoczynek” nie pospuły nastroju i humoru uczestników. Umalając sobie drogę wspólnym śpiewem oraz anegdotami, opowiadanymi ze swadą przez Romana Hnatowicza, powróciliśmy szczęśliwie do Krakowa.

Emilia Fedyk

Notatki

◆ **Krakowskie środowisko ekspatriantów** uczciło pamięć klęski wrześniowej w samą 60. rocznicę zradzieckiego zajęcia Lwowa przez Sowieców, 22 września. W kapitułarzu oo. Dominikanów mszę św. odprawił o. płk. Adam Studziński, wygłosił też homilię. Roman Hnatowicz recytował wiersz M. Hemara „Liść” (zamieszczamy go w tym numerze). Uroczystość zakończyło odśpiewanie przez Jadwigę Wrońską kilku patriotycznych pieśni lwowskich.

17 września delegacja Oddziału Krakowskiego wzięła udział w uroczystej mszy św. rocznicowej w Bazylice Mariackiej, a na-

stępnie, wraz z innymi licznymi delegacjami, złożyła wiązanek kwiatów na Grobie Nieznanego Żołnierza na pl. Matejki (przed Pomnikiem Grunwaldzkim).

◆ Z końcem września PAN, UJ i organizacje kombatanckie zorganizowały w Krakowie sesję poświęconą **losom duchowieństwa na Ziemiach Wschodnich**. Referaty wygłosili: J.J. Rudnicka, która mówiła o ks. kan. Julianie Rudnickim z Archidiecezji Lwowskiej, prof. J. Węgierski – o Okręgu Lwowskim AK, a dr W. Poliszczuk omówił ogólnie represje wobec duchowieństwa. Wymowy referatów nie zdołał podważyć zagajający uczony.

◆ Ogólnopolski Komitet Obchodów 55. Rocznicy Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów na Ludności Wołynia i Małopolski wystosował list do ambasadora państwa Ukraina w Warszawie Dmytro Pawłyczko (z datą 5 sierpnia 1999) w sprawie opublikowanych przez polskie media jego wypowiedzi na temat upamiętnienia w kościołach Warszawy i Przemyśla ofiar OUN-UPA, a także nieprawdziwych ocen wydarzeń historycznych z lat wojennych i wczesnych powojennych. Autorzy listu wyrażają nadzieję, że przyjdzie dzień, kiedy władze i naród



Pielgrzymi z Krakowa u grobu ks. Jerzego Popiełuszki. Kwiaty składa najmłodsza uczestniczka, Monika Filipowicz

niepodległej Ukrainy **potęgą zbrodniczą działalność OUN-UPA** i odetną się, wzorem Niemiec i Rosji, od zbrodniczych organizacji.

Nie byłibyśmy tacy pewni, bo uczciwie podejście do tzw. pojednania widać tylko po polskiej stronie.

◆ Z końcem września odsłonięto we Wrocławiu **pomnik Polaków pomordowanych na Ziemiach Południowo-Wschodnich**. Pomnik powstał z inicjatywy Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, ale poświęcony jest wszystkim pomordowanym w latach 1939–47 przez OUN-UPA, NKWD i Gestapo.

W naszym kwartalniku nr 1/99 zaszło przykre niedopatrzenie: w liście osób uhonorowanych Złotą Odznaką TMLIKPW (str. 32) zostało omyłkowo pominięte nazwisko p. **Andrzeja Pawłowskiego**. Nie potrafimy wyjaśnić, jak do tego doszło, a sprawa jest tym przykrzejsza, że Andrzej jest naszym przyjacielem, wiernym członkiem Towarzystwa, oraz nie tylko czytelnikiem „Cracovia-Leopolis”, lecz i autorem artykułów.

Andrzej Pawłowski, lwowianin z dziada-pradziada (znana firma na pl. Mariackim), od wielu lat stoi w pierwszym szeregu ludzi aktywnych w sprawach lwowskich, czemu dawał wyraz na długo przed powstaniem Towarzystwa. Od kilku lat jest prezesem „Sokoła Macierzy-Lwów”, który pomaga, wraz z „Sokołem” krakowskim, w zorganizowaniu się gniazd sokolich za wschodnim kordonem. Ostatnio zainicjował i zorganizował znakomity konkurs dla licealistów krakowskich – pisaliśmy o tym w CL 2/99.

Pawłowski wielokrotnie publikował w prasie krakowskiej swoje wypowiedzi na rzecz Lwowa i prawdy historycznej o nim.

Trzeba jeszcze dodać, że A. Pawłowski był i jest znakomitym sportowcem i trenerem, naczelnikiem w krakowskim „Sokole”. W latach pięćdziesiątych był wicemistrzem Polski w gimnastyce.

Andrzeju, wybac! A przy okazji: prosimy o relację z wyjazdu do Lwowa (jako I nagrody) laureatek konkursu wiedzy o Lwowie, którym towarzyszyłeś. Jesteśmy ciekawi, jakie były ich wrażenia?

obowiązki i prawa, a także uporządkowany kształt urbanistyczny, przyjęty w średniowieczu (a i później) w całej Polsce. Kształt ten polegał na szachownicowym układzie ulic, z rynkiem pośrodku i kościołem parafialnym w pobliżu. Rynek był miejscem, na którym wznoszono ratusz i inne obiekty ogólnomiejskie oraz handlowe (np. sukiennice), służył też do funkcji targowych. Miasto było otoczone murami (bardziej lub mniej rozbudowanymi, w zależności od znaczenia miasta, jego położenia i zasobności).

Kazimierzowski Lwów powstał na nowym miejscu, na południe od ruskiej osady. Jego wymiary poziome wyniosły średnio 550 x 550 m (plan miał w istocie formę trapezową), a powierzchnia w obrębie murów 21 ha (dla porównania: Kraków 56 ha), w tym niespełna 2 ha zajmuje rynek. Miasto zostało otoczone podwójną linią murów z 17 basztami, dwoma bramami (Krakowską po stronie płn. i Halicką po pld.) i dwoma furtami (później zwanymi *bosacką* – od wsch. i *jezuicką* od zach.) oraz fosą, przy czym po stronie zachodniej tworzyła ją rzeczka Pełtew. Płn.zach. naroże zajmował Niski Zamek (Wysoki Zamek wznosił się na górze po płn. stronie miasta), a do naroża pld.wsch. przytykał osobno ufortyfikowany klasztor Bernardynów. Budynki publiczne, kościoły i kamienice mieszkalne były murowane.

Tak założone miasto stanowiło niepodzielną całość, zarządzaną – w myśl prawa magdeburskiego – przez samorząd. Władzę administracyjną pełniła wybierana corocznie rada miejska, która wyznaczała burmistrza. Władzę sądowniczą spełniał wybieralny wójt z ławnikami. Przedstawicielem króla był starosta, który jedynie zatwierdzał wybranych radnych i urzędników, sprawował władzę na przedmieściu (dawnym mieście) ruskim oraz zarządzał dobrami królewskimi w całej prowincji. Struktura ta ulegała ewolucji w ciągu następujących dziesięcioleci i wieków, aż do I rozbioru Polski.

Z czasem zaczęły się tworzyć obok miasta przedmieścia. Po stronie płn. było to przedmieście Krakowskie (inaczej Zamkowe – na miejscu dawnej osady ruskiej), po stronie pld. przedmieście Halickie. Wokół całego miasta potworzyły się inne jeszcze przedmieścia: Łyczaków, Kleparów, Janowskie, Żółkiewskie, Zamarstynów, Gliniańskie, Na Bajkach, zasiedlone głównie przez rzemieślników, oraz – od XVII w. – kilkadziesiąt jurydyk magnackich (m.in. Chorażczyzna, Sieniawszczyzna, Sobieszczyzna, Jabłonowszczyzna). W bezpośrednim sąsiedztwie Lwowa nie było pierwotnie wsi, miasto bowiem powstało na terenie słabo zaludnionym. Wsie w okolicy powstawały od XIV–XV wieku (Sokolniki, Zu-

KULTURA NAUKA

Kronika

◆ Grupa historyków architektury z Politechniki Świętokrzyskiej w Kielcach zorganizowała – przy pomocy finansowej Komitetu Badań Naukowych – wyprawę na ziemie wschodnie, w celu podjęcia prac dokumentacyjnych, dotyczących **ufortyfikowanych miast, warowni i innych obiektów obronnych epoki staropolskiej**. Jeden z uczestników wyjaśnił, że o ile w centralnej Polsce fortyfikacje miało 5-15% miejscowości, to na tamtych ziemiach 70%, tzn. około 400 miast.

Inicjatywa kielecka jest bardzo cenna, bo polskie zabytki na tamym obszarze znajdują się w większości w stanie katastrofalnym. Mają więc być również sformułowane wnioski konserwatorskie (tylko kto je wcieli w życie?).

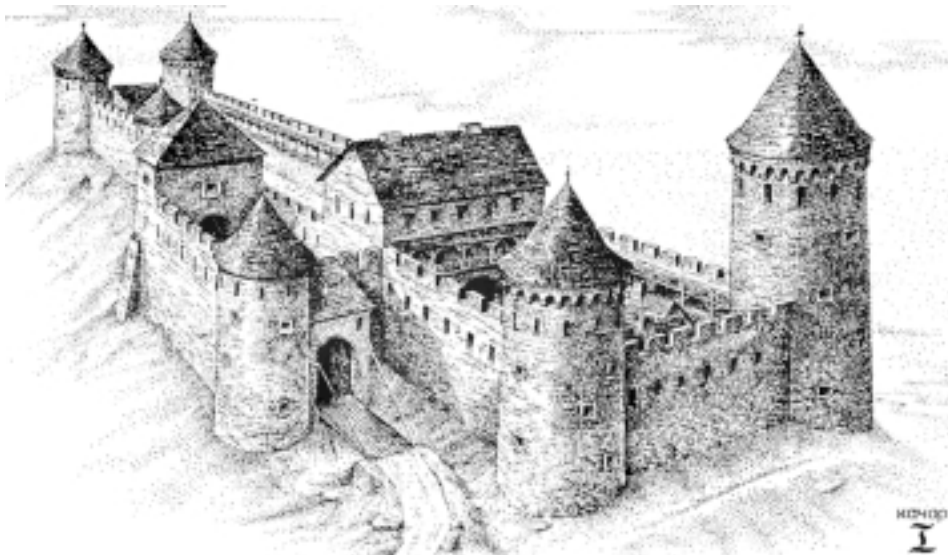
Obok więc programu inwentaryzacyjnego odnośnie do kościołów, realizowanego przez krakowskich historyków sztuki, rodzi się nowy program dotyczący cennych obiektów, które przez kilkaset lat skutecznie broniły całej Polski przed najazdami ze wschodu.

◆ Nieoczekiwane odbicie wydarzeń z II wojny w archiwaliach, pochodzących z lwowskiego klasztoru OO. Reformatów. W kronice tego klasztoru z 1940 r. czytamy: *W ogrodzie zjedli bolszewicy wszystkie owoce – jeszcze zielone. Zerwali niedojrzałe ogórki, a pomidory musiał brat Polikarp zrywać jeszcze zielone, bo nie pozwalali im dojrzeć.*

Archiwalia reformackie ze Lwowa, przechowywane dziś w klasztorze krakowskim, pokazano z końcem ub. roku (1998) na kolejnej wystawie z cyklu „Skarby krakowskich klasztorów” (o poprzednich wystawach innych zakonów i zawartych w nich *leopolitanach*, donosiliśmy w CL).

◆ W krakowskich Krzysztoforach – Muzeum Historii M. Krakowa – otwarto wystawę malarstwa **seniora rodu Kossaków, Juliusza**, autora obrazów batalistycznych, historycznych i rodzajowych. Tak obszerna ekspozycja dzieł tego artysty odbyła się przed stu laty we Lwowie, Krakowie i Warszawie. Na obecną wystawę wypożyczono ok. 200 eksponatów z 16 instytucji, w tym ze Lwowa. Atrakcją wystawy są ilustracje do Sienkiewiczowskiego *Ogniem i mieczem*.

◆ W krakowskim supermarkecie Geant – w nowo otwartej „Galerii Handlowej” – wystawiono tryptyk Jerzego Kossaka *Bitwa pod Rafajłową* (a nie *Ratajłową*, jak napisano w jednej z gazet). Obraz został ujawniony zaledwie przed paroma laty.



Wysoki Zamek we Lwowie, wzniesiony w XIV w., rozebrany w poł. XIX w. Grafika I. Kaczora, 1997

OSTATNI ROZKAZ

Poniżej podajemy treść ostatniego rozkazu gen. Władysława Langnera, skierowanego – już po podpisaniu aktu przekazania miasta wojskom sowieckim – do obrońców Lwowa. Treść tego rozkazu została odręcznie przepisana przez p. Stefana Uhmę, a nam przekazana przez Jego córkę, dr Barbarę Uhmę.

Lwów, dnia 22 XI 1939 r.

Dowódca
Okręgu
Korpusu Nr VI

Rozkaz do żołnierzy

Żołnierze!

Przez 10 dni załoga miasta Lwowa odpięła skutecznie natarcia niemieckie. Żołnierze Obrony Lwowa zapisali piękną kartę w historii wojen, przeciwstawiając się wielkiej technicznej przewadze wroga, nie szczędząc krwi i życia. Gdy teraz na rozkaz żołnierze Obrony schodzą ze swych pozycji, muszą wiedzieć, że nie poddajemy się w walce Niemcom, żeśmy się im oparli, że ustępujemy Lwów wojskom Sowieców, z którymi nie walczyliśmy i z którymi walczyć nam nie kazano. Ustępując ratujemy Lwów od zupełnego zniszczenia i Was, Żołnierze, zachowujemy dla dalszej pracy w Ojczyźnie i dla Ojczyzny.

Ciężką tą dla każdego żołnierza decyzją obciążam własne sumienie. Innego wyjścia dzisiaj nie mamy. Wam pozostaje rozkaz karnie wykonać – posłusznie spełnić Wasz ostatni do czasu, żołnierski obowiązek.

**Dziękuję Wam za krew i trudy.
Ojczyzna Wam tego nie zapomni.
Niech żyje Polska!**

Dowódca Okręgu
Korpusu Nr VI
Langner gen. bryg.

brza, Sichów, Winniki, Bilka, Zboiska, Malechów, Rzęsna i inne).

W 1433 r. Lwów stał się stolicą województwa, które obejmowało ziemie: lwowską, przemyską, halicką i sanocką, później także trembowelską. W tym czasie miasto z przedmieściami liczyło 8–10 tys. mieszkańców (dla porównania: Kraków 12 tys.).

W r. 1772, w wyniku I zaboru, cała Małopolska (na razie bez Krakowa) została przyłączona do państwa austriackiego. Lwów, jako największe już wtedy miasto tej części kraju (z przedmieściami liczył 25–30 tys. mieszk.) stał się stolicą nowo utworzonej prowincji austriackiej pod nazwą Galicji i Lodomerii. Na jej czele postawiono gubernatora (do pomocy miał urząd zwany *gubernium*) i podzielono na 18 obwodów (do r. 1848), na których czele stali starostowie (po niem. *Kreishauptman*). W r. 1775 Austriacy powołali w Galicji Sejm Stanowy, w którym zasiadali przedstawiciele duchowieństwa, magnatów, szlachty i mieszczan. Sejm ten nie odgrywał w praktyce większej roli. We Lwowie ustanowiono magistrat z burmistrzem, wiceburmistrzem i 16 radcami. Miasto podzielono na 5 dzielnic:

I. (przedmieście) Halickie,

II. Grodeckie,

III. Żółkiewskie

IV. Łyczakowskie

oraz (bez numeru)

Śródmieście, pokrywające się ze starym miastem, którego mury zostały przez Austriaków zburzone. W r. 1830 liczył Lwów ok. 55 tys. mieszkańców, w 1870 – ok. 90 tys.

Niekorzystne dla Austrii wydarzenia w Europie po 1848 r. (zob. CL S/98) zmusiły ją do udzielenia krajom, wchodzącym w jej skład, autonomii, a samo państwo przybrało nazwę Austro-Węgier. Autonomia Galicji ustalała się sukcesywnie w latach 60. XIX w. W myśl nowej konstytucji państwa, Galicja w 1861 r. uzyskała własny Sejm Krajowy oraz organ wykonawczy – Wydział Krajowy. Władzę cesarską reprezentował odąd namiestnik (po niem. *Statthalter*), mianowany przez władze wiedeńskie (zawsze Polak, podczas gdy gubernatorami byli dotąd Austriacy). Na czele Wydziału Krajowego stał marszałek krajowy (też zawsze Polak). Językiem urzędowym od 1869 r. stał się polski, spolszczono szkolnictwo i wyższe uczelnie. We Lwowie burmistrza zastąpił prezydent miasta, liczbę wiceprezydentów zwiększono do trzech (zwyczajowo jednymi z nich byli Rusini i Żyd).

W okresie autonomicznym Lwów rozwinął się w nowoczesne miasto. Jego powierzchnia wzrosła do prawie 32 km² (= 3200 ha, był pięciokrotnie rozleglejszy od ówczesnego Krakowa). Liczba ludności w r. 1880 przekroczyła 100 tys., a z początkiem XX w. 160 tysięcy.

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Ani książka, którą na wstępie opisujemy, ani jej przedmiot nie mają bezpośredniego związku z obroną Lwowa i Ziemi Wschodnich, którym poświęcony jest niniejszy numer kwartalnika. A jednak związek ten jest ze Lwowem najbliższy: Panorama Racławicka to niemal synonim Lwowa. Dzieło sztuki to nie tylko powstało i było podziwiane we Lwowie, lecz przede wszystkim było wyrazem niezwykłego patriotyzmu społeczeństwa lwowskiego, które w tamtej epoce – czwartej ćwierci XIX w., gdy odrodzenie Polski jeszcze się nie zapowiadało – stworzyło własną ofiarnością owo arcydzieło ku pokrzepieniu serc. Mamy prawo przypuszczać, że to dzieło, podobnie jak książki Sienkiewicza i obrazy Matejki, nie pozostało bez wpływu na ukształtowanie się wspaniałej postawy polskiego społeczeństwa – przede wszystkim we Lwowie i całej Galicji-Małopolski – w narodowej potrzebie, jaką była Wielka Wojna.

Książkę-album *Panorama Racławicka* opracował prof. **Franciszek Ziejka**, dziś rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Książka powstawała w trudnym czasie, wkrótce po stanie wojennym, bo wydana w 1984 r. (Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków), można więc powiedzieć, że i jej celem było pokrzepienie serc. Podwójnie przeto dziękujemy, Panie Rektorze.

Książka ma kilka wątków. Autor przedstawia legendę racławicką i zarazem omawia polityczne tło końca XIX wieku, na jakim powstało dzieło Jana Styki i Wojciecha Kosaka. Opowiada o tworzeniu malowidła i wielkim sukcesie, jaki odniosło. Przedstawia w końcu burzliwe dzieje Panoramy w latach II wojny i po niej, zanim na nowo wyeksponowano ją we Wrocławiu.

Tu dodajmy od siebie, że szczęśliwie się stało, iż ten lwowski skarb historii i kultury dotarł właśnie – za lwowianami – do polszcącego się Wrocławia. Były różne pomysły lokalizacji: Racławice, Kraków. W Krakowie argumentowano, że Racławice blisko, że Kościuszko tu przysięgał. Pięknie, ale gdyby Panoramę umieszczono w Krakowie, i tak pełnym dzieł sztuki i pamiątek, rychło by zapomniano, skąd się ona tu wzięła. Kto i gdzie ją zainicjował, kto zorganizował i sfinansował gigantyczne przedsięwzięcie artystyczne i budowlane. Gdzie ją namalowano i gdzie się znajdo-



Rotunda Panoramy Racławickiej na Placu Powystawowym we Lwowie. Stan przedwojenny

wała przez pół wieku. We Wrocławiu tego zapomnieć nie sposób, bo przecież podobne polskie dzieło sztuki w 1894 roku tam powstać nie mogło. Pan Bóg łaskaw...

Na zakończenie przytoczmy kilka zdań z tekstu prof. Ziejki (str. 9):

[...] szczególniejszej uwagi wymagała decyzja o przystąpieniu do malowania pierwszej polskiej panoramy, a taką była właśnie Panorama Racławicka. Jaka była zatem geneza tego obrazu, czy jego pomysł zrodził się przy biurku, za którym zasiedli dwaj przedsiębiorczy malarze i grono finansistów – jak to niejednemu raz przedstawiali przeciwnicy Racławic? Przyjęcie takiej tezy świadczyłoby nie tylko o braku jakiegokolwiek rozeznania w realiach społeczno-politycznych przełomu wieków XIX–XX, ale nade wszystko – w przemianach naszej świadomości narodowej. Panorama Racławicka nie była jedynie rezultatem decyzji przypadkowo podjętej przez grono światłych mieszkańców Lwowa, ale ważnym etapem przemian w naszym myśleniu o przeszłości narodowej, a także – o teraźniejszości i przyszłości. Była ważnym ogniwem procesu „uobywatelniania” ludu wiejskiego, dowodem żywotności idei odrodzenia Polski wysiłkiem całego narodu. Poszukując jej genezy, trzeba cofnąć się daleko wstecz, ku dniom insurekcji kościuszkowskiej, a przede wszystkim – ku latom kształtowania się legendy o tej insurekcji. Taka perspektywa winna pomóc w zrozumieniu wagi tego przedsięwzięcia i znaczenia, które wybiega daleko poza ramy tradycyjnie przypisywane dziełom sztuki.

Przypomnijmy jeszcze, że o lwowskiej Wystawie Krajowej z 1894 r., której częścią składową była Panorama Racławicka, pisaliśmy w CL 2/95.

Miło nam zwrócić uwagę Czytelników, że autorem opracowania graficznego książki-albumu *Panorama Racławicka* jest p. Bohdan Prądyński, który opiekuje się stroną graficzną także naszego kwartalnika, od początku jego istnienia.

Książki dawno nie ma w księgarniach. Pozostawałyby jedynie antykwarjaty.

📖 W zeszłorocznym numerze specjalnym (CL S/98) pisaliśmy – z okazji 150. rocznicy – o Wiośnie Ludów we Lwowie. Pominę-



Herb Lwowa w wersji nadanej przez papieża Sykstusa V

W Polsce Odrodzonej powstał tzw. Wielki Lwów, powiększony o okoliczne gminy: Kleparów, Zamarstynów, Zniesienie, Hołosko Wielkie i Małe, Zboiska, części Rzęsny Polskiej, Kozielnik, Kulparkowa, Krzywczyc, Lesienic, Laszek Murowanych. Utworzono nową dzielnicę VI. Nowy Świat (z części dzielnic I i II; nr V. przydano Śródmieściu).

Liczba ludności miasta Lwowa wynosiła w 1939 r. ok. 360 tysięcy, w tym język polski jako ojczysty deklarowało 63,5%, ruski (ukraiński) 11%, żydowski (jidisz) i hebrajski 24%, a pozostałe półtora procent – inne (wg danych z 1931 r.).

Po I wojnie Małopolska-Galicja została podzielona na 4 województwa: krakowskie (obejmujące Małopolskę zachodnią), lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie (trzy ostatnie pokrywały się z Małopolską środkową i wschodnią). W latach międzywojennych ustrój miasta Lwowa i innych miast, a także powiatów, nie różnił się zasadniczo od wypracowanego w latach autonomii galicyjskiej. (A.C.)

Literatura:

F. Papee, *Historia M. Lwowa*, Lwów 1924

L. Podhorodecki, *Dzieje Lwowa*, Warszawa 1993

S. Grodziski, *W królestwie Galicji i Lodomerii*, Kraków 1976.

K.K. Pawłowski, *Narodziny miasta nowoczesnego*, [w:] *Sztuka 2 połowy XIX w*, Warszawa 1973.

J. Gieryński, *Lwów nie znany*, Lwów 1938.


F. Barański, *Przewodnik po Lwowie*, Lwów 1902.

liśmy wtedy omówienie ważnego i ciekawego materiału historycznego, jakim jest pamiętnik **Aleksandra Batowskiego: *Dziariusz wypadków 1848 roku*** (wyd. ZN im. Ossolińskich, Wrocław 1974), przygotowany do druku przez nieżyjącego już prof. Mariana Tyrowicza, znakomitego historyka lwowskiego, osiadłego po II wojnie w Krakowie i związanego z tutejszą WSP.

Aleksander Batowski (1799–1862) urodził się we Lwowie, był synem Jana, właściciela dóbr Kulików, Udnów i Doroszków w Żółkiewskim, oraz Barbary z Odrzywolskich. Był historykiem, wydawcą, bibliofilem-kolekcjonerem. Brał żywy udział w życiu politycznym, kulturalnym i towarzyskim Lwowa swojego czasu. Rękopis jego pamiętnika znajdował się przed II wojną w Bibliotece Baworowskich we Lwowie (pisałyśmy o tej księżnicy w CL 3/99), po wojnie zaś znalazł się w Bibliotece Narodowej w Warszawie.

Prof. Tyrowicz uważa, że mało jest źródeł o tak bogatej i niejednokrotnie rewelacyjnej treści, jak dziennik Batowskiego. Autor omawiając wydarzenia, wyraża swoje poglądy i refleksje odnośnie do polityki, ale także treści obyczajowej i kulturalnej, charakteryzujące towarzystwo lwowskie oraz znanych i zapomnianych ludzi, ich życie i działanie, oddając w ten sposób nie tylko fakty historyczne i ich ocenę, ale również klimat epoki we Lwowie tamtego czasu.

Książka może być dostępna jedynie w antykwariatach.

 Oficyna wydawnicza „Ajaks”, działając na zlecenie Zarządu XII Sztabu Generalnego WP, wydaje serię publikacji, zatytułowaną *Boje polskie*. Ósmą pozycją tej serii jest **Lwów 1–22 listopada 1918 roku**, a jej autorem **Jeremiasz Ślipiec** (Pruszków 1997). Jest to zwięzły i rzeczowy wykład o historii tamtych niezwykle trzech tygodni, które zadecydowały o przyszłości Lwowa – choć tylko na lat dwadzieścia. Tylko tyle, bo ów naturalny, ukształtowany w konsekwencji rozpadu XIX-wiecznych imperiów zaborczych, historycznie uzasadniony kształt Europy – został pogwałcony przez dwa nowe zbrodnicze imperia. I choć oba się rozpadły, jedno prędzej, drugie później, konsekwencje podbojów tu i ówdzie trwają nadal.

Książka Ślipca została bardzo atrakcyjnie wydana (duży format, kredowy papier, twarda okładka z obrazem Wojciecha Koszaka *Obrona cmentarza*) i doskonale nadaje się na prezenty, zwłaszcza dla młodych ludzi.


Wypadałoby tylko sprostować drobny, lecz przykry błąd w nazwisku Pani, która wskazała trumnę ze szczątkami Nieznane-go Żołnierza do Grobu w Warszawie. Jej nazwisko brzmi Zarugiewiczowa (a nie Zurugiewiczowa). Pisałyśmy o niej w CL 3–4/95.

Warto też zwrócić uwagę, że jednym z członków komitetu rozjemczego (s. 21) był dr Ernest Adam, a nie Adam Ernest, jak napisano – bo wszystkie inne osoby wymieniono w takim układzie: najpierw imię, potem nazwisko. Adamowie to znana i godna rodzina lwowska.

Na zakończenie cytaty z ostatniej strony książki:

Z szeregów bohaterskich obrońców Lwowa wywodzili się [...] późniejsi sławni dowódcy Wojska Polskiego, którzy w latach II wojny światowej na różnych jej frontach dali przykład żołnierskiego kunsztu i bezgranicznego patriotyzmu. Nie sposób wyliczyć ich wszystkich [...].

Książkę można nabyć w księgarniach naukowych.

 Niezwykle ciekawe i mało znane szerszemu ogółowi informacje można znaleźć w książce **Ludwika Mroczyka** pt. ***Spór o Galicję Wschodnią 1914–1923***. (Wydawnictwo Naukowe WSP, Kraków 1998). Z sześciu rozdziałów w niej zawartych nas zainteresował najbardziej pierwszy: *Przedmiot sporu: Galicja Wschodnia, terytorium i ludność*, przynoszący sporo wiadomości statystycznych, opartych na źródłach, praktycznie zwykłym zjadaczowi chleba niedostępnym. Dalsze rozdziały omawiają problematykę zbrojną i dyplomatyczną, a więc sprawy przynajmniej w ogólnych zarysach znane. A jednak warto z tych rozdziałów to i owo wynotować.

Autor określa przede wszystkim, co to była *Galicja Wschodnia*, interesuje go więc (nas też) rozgraniczenie Galicji Wschodniej od Zachodniej. Wyjaśnijmy przeto, że o ile oczywista jest granica południowa – łańcuch karpaccy i granica wschodnia – rzeka Zbrucz, o tyle jako umowną należy trakto-

wać granicę północną – z Wołyniem (w skład Galicji wchodził np. Zbaraż, wcześniej zaliczany do Wołynia, ale sprawę niejako przypieczętowały granice zaborów austriackiego i rosyjskiego), a jeszcze bardziej – zachodnią. Wyjaśnienie tej ostatniej właściwie nie było nigdy nikomu potrzebne, bo od wieków nie było tu żadnego podziału, z wyjątkiem okresu Księstwa Halickiego w średniowieczu, lecz i wtedy ścisłych granic w naszej części Europy nie znano.

Dla nas niejako *ideową* granicą między wschodnią a zachodnią Galicją-Małopolską jest San, co oczywiście nie ma żadnego związku z rozgraniczeniami administracyjnymi (tak jak z obecną sztuczną granicą pojażańską). Autor do celów swojego opracowania przyjmuje więc jedyny ówczesny podział austriacki – niejako biurokratyczny: na okręgi sądowe, lwowski i krakowski. Po stronie wschodniej pozostawały więc powiaty graniczne: *jarosławski, brzozowski, przemyski i sanocki*. Poza powiatami nie było wtedy w Galicji żadnych wyższych jednostek administracyjnych (typu guberni – jak w zaborze rosyjskim, lub województw – te powstały dopiero w Polsce odrodzonej).

Ogólna powierzchnia Galicji wynosiła 78 450 km², z tego część wschodnia liczyła 55 340 km², czyli 70,5%. W 1910 r. Galicję zamieszkiwało 8 044 000 mieszkańców, z czego w części wschodniej 5 336 000. Gęstość zaludnienia wynosiła 102 osoby na km² (w części zachodniej 115, a wschodniej 96). Był to więc kraj, jak na owe czasy, gęsto zaludniony.

Galicję Wschodnią zamieszkiwały dwie zasadnicze grupy narodowościowe i wyznaniowe (razem stanowiły nieco poniżej 90%), ale uwaga! – odsetki odnoszące się do deklarowanej narodowości, języka i wyznania wcale się nie pokrywały. W dodatku z biegiem lat, w epoce autonomii galicyjskiej i okresu międzywojennego, wszystkie parametry ewoluowały w kierunku polskości i łacińskiego obrządku. Dodajmy od siebie, że zjawisko to było związane z dążeniem do awansu cywilizacyjnego i kulturalnego (szczególnie w miastach), pomimo szerzącego się w XIX w., podsycanego przez Austriaków, nacjonalizmu ukraińskiego. Autor przypomina, że politycznie jednak i państwowo społeczeństwo ruskie w Galicji Wschodniej zasymilowało

PERSENKÓWKA

Część Kulparkowa, położona na pld. od Lwowa, po wsch. stronie drogi stryjskiej, stacja kolejowa na linii Lwów-Stanisławów. Persenkówka wchodziła w obręb miasta, zakreślony przy pierwszym nadaniu. Pierwotnie dzierżaawił ją mieszczańm Kosner, od którego wzięła nazwę *Kosnerówka*, a warunkiem dzierżawy, oprócz spłaty czynszu, był udział w obronie granic miejskich. Po wygaśnięciu rodziny Kosnerów, folwark przeszedł w posiadanie Stanisława Dąbrowskiego, a po nim innych właścicieli, których nazwisk nie znamy. W 1687 r. zakupił go kupiec lwowski Jakub Persing i zmienił dotychczasową nazwę na *Persenkówkę*. W XIX w. był znowu własnością miejską i na jego terenie zbudowano elektrownię miejską.

Persenkówka była terenem zaciętych walk podczas obrony Lwowa w 1918 r. Dla ich upamiętnienia wzniesiono tam (dziś nieistniejący) pomnik projektu Rudolfa Indrucha. W okresie międzywojennym powstał tam także tor wyścigów konnych im. F. Jurkiewicza, drugi co do rangi po torze służewieckim w Warszawie, i uważany za jeden z najładniejszych w Polsce. W pobliżu, na *Jałowcu* był drugi tor, gdzie odbywały się zawody organizowane przez 14. pułk Ułanów Jazłowieckich. (A.C.)

SNOPKÓW

Obszar położony w pld. wsch. części Lwowa, w lesistej dolinie Pełtwi (blisko jej źródła), otoczony od zach. i pld. Żelazną Wodą (zob.), Zofiówką, Krasuczynem i Bieloskiem (zob.), a od pln.wsch. drogą Sichowską (późniejszą ul. Zieloną). Niegdyś folwark, założony w XVII w. przez lwowską rodzinę mieszczańską o nazwisku Snopek. Na przełomie XIX/XX w. należał do Janiny Karłowiczówny, która część gruntów majątku przekazała na założenie uczelni gospodarczej dla panien (późniejszego Instytutu Gospodarczego Kształcenia Kobiet jej imienia). W latach po II wojnie główny budynek został przebudowany (architektonicznie zniekształcony) i obecnie należy do uniwersytetu. (A.C.)

ZAMARSTYNÓW

Niegdyś wieś podmiejska, a w okresie międzywojennym przedmiejska dzielnica w pln. części Lwowa, sąsiadująca od pln. i zach. z Hołoskiem (zob.), od wsch. ze Zboiskami (zob.). Przez pln. część jej obszaru przepływa Pełtew. Na podmokłych niegdyś terenach znajdowały się torfowiska. W 1890 r. Zamarstynów liczył 3415 mieszkańców, w tym 3257 Polaków i 44 Rusinów. Ludność rzym.kat. należała do parafii

się zupełnie z ideą państwową polską i aż do r. 1830 przeżywało i razem z Polską odczuwało silnie całą polską tragedię rozbiorów.

Autor przedstawia następnie zderzenie polskich i ukraińskich aspiracji terytorialno-politycznych, aż do konfrontacji zbrojnej w 1918 r. Tu warto zatrzymać się nad sprawą mało nam znaną – rolą Czechosłowacji, i to od samego zarania jej istnienia (1919 r.). Cytujemy:

Dążenia emancypacyjne Łemków używały następnie kuratora w Pradze. Czechosłowacka penetracja Łemkowszczyzny i inspirowanie agitacji za jej przyłączeniem do Czechosłowacji prowadzone były w ramach ogólnej akcji pozyskania Karpatorusinów, ale w danym przypadku miało także na uwadze przejęcie kopalni naftowych na Podkarpaciu. [...]

Oddziały czechosłowackie operujące na Orawie według informacji PKL zaopatrywały w broń niektóre gminy łemkowskie, a w lutym 1919 r. kolportowano w Pradze deklarację Ruskiej Rady ogłaszającą autonomię Łemkowszczyzny w granicach Republiki Czechosłowackiej. Bezskutecznie natomiast próbowano zainteresować sprawą Łemkowszczyzny konferencję pokojową w Paryżu.


I jeszcze:

Kwestia ukraińska w polityce wschodniej Czechosłowacji była podporządkowana nader ambitnym celom ogólniejszym. Wśród nich na pierwszym miejscu było dążenie do utworzenia wspólnej granicy z Rosją, odpowiadające także czechosłowackim interesom ekonomicznym. Granica ta miała ułatwić Czechosłowacji zajęcie dominującej pozycji w Europie środkowej. Z tego punktu widzenia stan przejściowy w Galicji Wschodniej był dla Pragi korzystniejszy niż polska tam stabilizacja, urealniał bowiem przyłączenie Łemkowszczyzny atrakcyjnej z powodu jej pól naftowych. Tocząca się wojna polsko-ukraińska umożliwiała bardzo korzystny eksport broni dla potrzeb Halickiej Armii w zamian za ropę naftową nabywaną po cenach o wiele niższych od cen na rynku światowym. Handel naftą związany był również z czeskim eksportem do Galicji [...], który [...] uzyskał wymiar monopolu, łatwiejszego do utrzymania w stosunkach z ZURL [Zachodnio-Ukra-

ińskiej Republiki Ludowej] niż z Polską, główną zawadą wielkości i znaczenia Czechosłowacji w Europie Środkowej. Chociaż więc w końcu pod presją biegu wydarzeń pogodzone się nad Wełtawą z obecnością Polski we wschodniej Galicji, bynajmniej nie zaprzestano wspierania ukraińskiego ruchu narodowego.

Książka, jak widać, jest obiektywnie napisana. Oznacza to, że nie jest pisana z pozycji antypolskich, co się ostatnio nader często zdarza naszym (?) europejczykom.

Książka do nabycia w księgarniach naukowych.

 Ważnym składnikiem najnowszych, XX-wiecznych dziejów Polski, a w szczególności ziem wschodnich, w tym Małopolski Wschodniej, są i pozostaną d e p o r t a c j e, dokonywane przez sowieckich okupantów w latach II wojny. Sowietci nie byli wynalazcami tej formy ucisku nie tylko podbitych narodów – także swoich własnych obywateli, Rosjan nie wyłączając. Stosował to szeroko carat – jakże mocno odcisnęły się w naszej pamięci narodowej zsyłki po powstaniach 1831 i 1863 r. (i nie tylko) i złowroga nazwa Sybiru. Sowietci, zgodnie ze swoją ideologią, nie znającą hamulców moralnych, a z drugiej strony dysponując innymi możliwościami technicznymi (transportowymi), doprowadzili do swoistej perfekcji nieludzkie przerzucanie rzesz ludzkich na *nieludzką ziemię* nieprzyjazną dla mieszkańców Europy i niemal nie zagospodarowaną. Wśród budzących dreszcz zgrozy nazw geograficznych pojawiły się nowe – dla nas głównie K a z a c h s t a n.


Polsce, poza nieszczęsnymi narodami zaanektowanymi przez Rosję carską i sowiecką, przyszło złożyć największą ofiarę ludzkiego nieszczęścia. Trudno znaleźć rodzinę z ziem wschodnich, z której większa lub mniejsza część nie została wywieziona – nie mówiąc nawet o jeńcach i aresztowanych – w ciągu tych dwóch niespełna lat stalinowskiej okupacji. Z tych niemała część – przeważnie starcy i małe dzieci – zginęła, nie przystosowana do tamtejszych warunków bytowych, braku elementarnych zdobyczy cywilizacyjnych, a nawet do klimatu.

Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego (1997) dało nam zbiorową pracę

pod redakcją **Stanisława Ciesielskiego**, pt. **Życie codzienne polskich zesłańców w ZSRR w latach 1940–1946. Studia**. Poszczególne części tej książki, napisane przez czterech autorów, omawiają najpierw zasady i tryb deportacji oraz liczebność i rozmieszczenie zesłańców, warunki egzystencji (od wyżywienia po mieszkanie), pracę zesłańców, stan zdrowia, życie religijne i nastroje polskich skupisk, a z drugiej strony stosunek władz i miejscowej ludności do osadzonych tam Polaków.


Książką zainteresują się na pewno (jeśli nie woleliby raczej o tym zapomnieć) ludzie, którzy to przeżyli na własnej skórze, a także ich potomkowie. Polecamy ją także tym mieszkańcom centralnej Polski, którzy żyją w głębokim przeświadczeniu, że to oni byli najbardziej skrzywdzeni w czasie II wojny.

Książka do nabycia w księgarniach naukowych lub w wydawnictwie.

 **Władysława Żołnowskiego Matka Boża Buszczecka i jeźdźcy Apokalipsy** (wyd. Polihymnia, Lublin-Opole 1998) to kolejna książka o bestialstwie nacjonalistów ukraińskich – przez co wcale nie należy rozumieć wyłącznie UPA – we wsi Buszcze nad Złotą Lipą (między Dunajowem a Brzeżanami). Autor pochodzi ze wsi Rohaczyn-Miasto, a z dramatem pobliskiego Buszcza i okolicznych wsi (listopad 1943 – kwiecień 1944) zetknął się najpierw jako 11-letni chłopiec, słuchając relacji osób dorosłych. Jako już starszy człowiek sam podjął badania nad tragicznymi wydarzeniami. Rozmawiał z dziesiątkami świadków, przestudiował liczne dokumenty i relacje, obejrzał miejsca wypadków. Zestawił je w logiczny ciąg, a na końcu książki zamieścił listy zamordowanych w Buszczu i okolicy.

Parę stron poświęca Żołnowski staro-
mu obronemu kościołowi buszczeckie-
mu, który miał odegrać jeszcze raz swoją
rolę w obronie zagrożonej ludności. Ukra-
ińcy jednak okazali się bardziej bezwzględni
od Tatarów...

Książka do nabycia w oddziałach TMLiKPW.

 Kolejna książka z coraz liczniejszej serii
wspomnień ludzi, którzy przeżyli dramat
sowieckich łagrów, to **Więzień Gułagu Jana**

św. Marcina we Lwowie, a gr.kat. do parafii w Ho-
łosku.

Nazwa Zamarstynowa pochodzi od folwarku
Sommersteinhoff, założonego w 1423 r. przez
lwowskiego patrycjusza Jana Sommersteina, na
wykupionych od miasta 12 łanach gruntu.
W XVI w. miasto zastawiło wieś u mieszczanina
Sebalda Wurcela, który zbankrutowawszy dał ją
w 1567 r. w zastaw Mikołajowi Sieniawskiemu.
Po długich pertraktacjach z Sieniawskim powró-
ciła w 1615 r. w posiadanie miasta. Później przez
krótki czas należała do mieszczanina lwowskie-
go Dąbrowskiego. Następnie nabył ją Stanisław
Szembek. W 1695 r. napadli na wieś Tatarzy,
paląc m.in. dwór i gumno Dominika Wilaka, rajcy
lwowskiego.

Zamarstynów od dawna nie cieszył się dobrą
sławą, o czym mówią kroniki lwowskie. Był wi-
downią częstych i ostrych konfliktów między mi-
astem a dzierżawcami. W 1604 r. wybuchł tam
nawet otwarty bunt chłopski pod wodzą Stanisła-
wa Stachyry.

W ostatnim stuleciu na Zamarstynowie wg
Przewodnika M. Orłowicza *najchętniej mieszkały
indywidualne mające we Lwowie zakazany pobyt*.
Równocześnie był Zamarstynów jedną z tych
dzielnic, które tworzyły oryginalny folklor miejski i
przedmiejski Lwowa. (M.T.)

ZBOISKA

Wieś podmiejska, 4 km na płn.wsch. od
Lwowa. Od strony zach. sąsiaduje z Zamarsty-
nowem (zob.), od płn.wsch. z Malechowem. Przez
płd. część wsi przepływa Pełtew. Z końcem
XIX w. liczyła ok. 800 mieszkańców, w tym
ponad połowę Polaków. We wsi był młyn i desty-
larnia nafty.

Pierwszą wiadomość o Zboiskach przynosi
dokument z 1395 r., w którym rajcy lwowscy
potwierdzili oddanie w zarząd kołodziejowi Ulryko-
wi młyna w Zboiskach, подарowanego przez żonę
comesa Annę lwowskiemu kościołowi parafialne-
mu NP Marii. W 1395 r. arcybiskup halicki Jakub
(bł. Jakub Strepa lub Strzemię) zwrócił ów młyn
rajcom lwowskim, a wkrótce potem odzyskał go
dla kościoła parafialnego proboszcz Jan Rusin
(wyrok w sporze toczonym w Krakowie zatwierdził
papież Bonifacy IX).

Następna wiadomość o tej wsi dotyczy sporu
między miastem Lwowem a Piotrem Odnowskim,
właścicielem tej wsi, o drogę ze Zboisk do Lwowa.
W 1571 r. Mikołaj Herburt, starosta lwowski, nadał
Piotrowi i Annie Dunajewskim pole koło Zboisk.
W 1684 r. oddał karczmę w Zboiskach warendę
Moszkowi Kielmanowiczowi. W 1737 r. wojewodzi-



Mironowicza (Gorzów Wkp. 1998). Autor urodził się w 1922 r. w rodzinie chłopskiej w Wołkowie k. Lwowa (16 km od Sichowa). Wychowywał się częściowo tam, częściowo we Lwowie. We Lwowie też był uczniem Kollegium oo. Reformatów przy ul. Janowskiej, nie wstąpił jednak do zakonu.

Z tamtego czasu zwróciły moją uwagę dwa fragmenty, o całkiem różnym charakterze. Pierwszy: matka autora, która ukończyła szkołę dwuklasową, stale czytała książki i gazety. Natomiast we wsi, 70 km od Krakowa, do której ja obecnie jeżdżę na weekendy i wakacje, książki ani gazety – w siedem-osiem dziesiątków lat później – nie uświadczysz, mimo że nauka trwa dziś 8 lat. Są, owszem, kosztowne telewizory, ale to nie z zamiłowania do kultury. Ten szczegół warto zadedykować niektórym krakowianom (starszego pokolenia), którzy jeszcze do niedawna z lekceważeniem traktowali *tych zza Bugu*. Różnice na korzyść ludzi *stamtąd* obserwuję od lat.

Drugi szczegół: autor miał w Wołkowie bliskiego kolegę dziecinnych zabaw, Ukraińca Kornylaka (którego matka była w dodatku chrześną matką autora). W 1940 r. ten sam Kornylak zadenuncjował i wskazał enkawudzistom 18-letniego Mironowicza, który za *spisek przeciw ZSRR* został zesłany do łagrów, a do Polski powrócił po 15 latach. To wydarzenie również można uogólnić, choć bywało też inaczej.

Autorowi można wytknąć to i owo. Pisze m.in.: *Lwów przed wojną liczył 360 tys. mieszkańców. Nie popełnię błędu, jeśli powiem, że było 120 tys. Polaków, 120 tys. Żydów, a na następne 120 tys. przypadali Ukraińcy, Ormianie oraz inne mniejszości narodowe, których w ówczesnej Małopolsce było bardzo dużo*. Otóż jest to poważny błąd, a wystarczyło sięgnąć do dostępnego źródła. Rocznik Statystyczny z 1939 r. podaje dla Lwowa wg zadeklarowanego języka (po przeliczeniu na procenty): polski 64%, ruski (ukraiński) 11%, żydowski i hebrajski 24%, zaś wg wyznania: rzym.kat. 50,5%, grekokat. 16%, mojżeszowe 30% (reszta – inne). Jeżeli więc chodzi o narodowość, przytoczone dane należałoby wypośrodkować. Drugi błąd polega na stwierdzeniu, że *innych mniejszości narodowych było bardzo dużo*. Otóż wcale nie – *innych* (poza wymienionymi wyżej) były ilości śladowe.

Ważnym elementem książki Mironowicza jest opis wydarzeń w Wołkowie w pierwszym okresie sowieckiej okupacji, oraz dalsze losy jego mieszkańców.

Mironowicz spędził tragiczne lata na *nieludzkiej ziemi*. Zetknął się z sytuacjami wprost niewiarygodnymi dla ludzi, którzy nie poznali bolszewizmu, nałożonego na styl wychowania całych pokoleń w tamtej części świata. Autor nie jest jednak źle usposobiony do Rosjan i innych nacji tam żyjących – widzi w nich ludzi głęboko nieszczęśliwych, których cierpienie zostało wpisane w koleje życia. Ożenił się z rosyjską dziewczyną, tak samo prześladowaną, jak on sam.

Swoje wspomnienia spisał dla wnuków. Bierzmy przykład (ale bez błędów).

Książka do nabycia w oddziałach TMLiKPW.


📖 Jednym z ostatnich dzieł (a może ostatnim) znakomitego badacza dziejów Lwowa pierwszej połowy XX wieku, w tym

obu wojen, **Artura Leinwanda**, było opracowanie odnalezionych w ostatnich latach materiałów z września 1939 r. i niedawno – pośmiertnie – wydanych pt. **Dokumenty obrony Lwowa 1939** (wyd. Instytut Lwowski, Warszawa 1997).

Spory ten tom zawiera 204 dokumenty – rozkazy, instrukcje, notatki, meldunki i sprawozdania oraz inne dokumenty, obrazujące dzień po dniu (8–22 IX) sytuację oblężonego Lwowa w najróżniejszych przejawach. Obok dokumentów czysto wojskowych, w dużej części o wadze historycznej, są i mniej zasadnicze, lecz szalenie ciekawe, jak np. notatka z fonogramu, przekazującego prośbę premiera Składkowskiego do gen. Langnera o wywakuowanie zakwaterowanych w majątku Borki k. Brzuchowic dzieci polskich z Gdańska – do Kołomyi. Ciekawa to sprawa – czy zostały one wcześniej wysłane z Gdańska na skutek działań wojennych? Co się z nimi potem stało? Może ktoś wie?

Książka jest przeznaczona oczywiście dla historyków profesjonalnych, ale sięgną do niej na pewno liczni nieprofesjonaliści, którzy interesują się drugą wojną. Warto jeszcze dodać, oryginały tych dokumentów zostały po zakończeniu działań wojennych we Lwowie ukryte w Ossolineum, a stamtąd w 1944 r. zabrane przez pracującego tam p. Bronisława Kocowskiego i wywiezione ze Lwowa. Rodzina zmarłego w 1980 r. B. Kocowskiego przekazała je już w latach 90. docentowi Leinwandowi. I on nie doczekał ich wydania – uczyniła to jego córka, też historyczka, p. Aleksandra J. Leinwand (wspomnienie o Arturze Leinwandzie – patrz CL 3/96).

Książka dostępna w Instytucie Lwowskim, Warszawa.

 Harcerkom m.in. Chorągwi Lwowskiej poświęcona jest praca **Anny Zawadzkiej** pt. **Harcerstwo żeńskie na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej 1911–1945** (wyd. Stow. „Wspólnota Polska”, Warszawa 1999). Autorka – warszawska harcmistrzyni – opierając się na zebranej bogatej dokumentacji (także fotograficznej) prowadzi przez dwie wojny światowe i zawarte między nimi twórcze dwudziestolecie. Książka ma charakter źródłowy – omawia przede wszystkim zagadnienia organiza-

na Joanna Jabłonowska wykupiła Zboiska z rąk stolnikowej halickiej, Rozwadowskiej.

Po rozbiorach istniała w Zboiskach gospoda uczęszczana przez mieszkających we Lwowie Niemców i Austriaków. Przechowywano w niej oprawioną w srebro kulę kręgielną, którą własnoręcznie potoczył cesarz Józef II.

W 2. poł. XIX w. właścicielem własności większej w Zboiskach był ks. Kalikst Poniński. W 1907 r. wybudowano drewniany kościół pw. MB Nieustającej Pomocy. Zamknięty po wojnie, został na nowo otwarty z końcem 1992 r. Odremontowany staraniem księży zmarłychwstańców, gromadzi na nabożeństwach ok. 100 osób, a obsługują go ks. Andrzej Jagielka i ks. Dariusz Szczeciński. W projekcie jest budowa nowego murowanego kościoła. (M.T.)

ŻELAZNA WODA

Obszerna, lesista kotlina w pld. części Lwowa, opadająca od Zofiówki na pld.wsch. w kierunku Snopkowa i górnego odcinka Pełtwi. U dołu kotliny znajdował się mały staw ze źródłami wody żelazistej. W 1905 r. założono tu park o nazwie Żelazna Woda, a w latach międzywojennych staw przebudowano na basen kąpielowy. Po stronie pld. na górującym nad Żelazną Wodą płaskowzgórzu zbudowano w latach 30. osiedle willowe pn. *Nowy Lwów*. (A.C.)



Z żalem odebraliśmy wiadomość
o śmierci
w dn. 5 września

śp. ks. dra
**KAZIMIERZA
BUKOWSKIEGO**
(1933–1999)

Duszpasterza, wychowawcy,
pisarza, redaktora,
We wczesnych latach 80. odprowadzał dla nas corocznie msze św.
w Bazylice Mariackiej w Krakowie
w intencji Orłąt Lwowskich.
Wygłaszał zawsze pamiętane homilie.
Pogrzeb odbył się w Myślenicach,
skąd ks. Kazimierz pochodził.
Cześć Jego pamięci.


cyjne w czterech wschodnich chorągwiach: wileńskiej, poleskiej, wołyńskiej oraz lwowskiej, od której cała praca się rozpoczęła (wydatnej pomocy autorce udzieliła w tym względzie Wanda Tomaszewska z Lwowskiej Chorągwi Harcererek). Porusza aspekty polityczne i społeczne, duszpasterskie i wychowawcze, sprawnościowe oraz wojenną służbę i bohaterstwo.

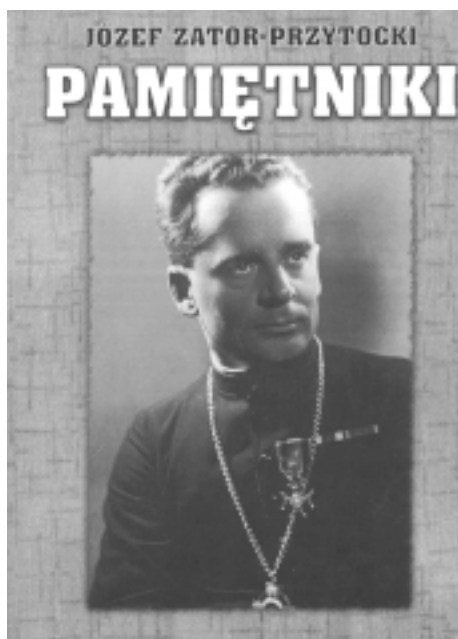
Trzeba na marginesie przypomnieć, że w r. 1983 Państwowe Wydawnictwo Naukowe (Warszawa) dało już drugą poprawioną i uzupełnioną edycję zbiorowego opracowania pt. **Harcerki 1939–1945** (tom II z podtytułem *Relacje – pamiętniki*), pod red. **Krystyny Wyczańskiej** (tom I pod red. **Marii Straszewskiej**). W t. I znajduje się króciutki podrozdział *Chorągiew lwowska* (podobnie jak o pozostałych wschodniopolskich chorągwiach – w rozdziale *Działalność chorągwi*). W innych rozdziałach nazwa Lwowa pojawia się paręnaście razy (podczas gdy Krakowa parokrotnie więcej, a o Warszawie mowa nieustannie), nazwy Stanisławowa, Tarnopola czy Stryja 1–3 razy. Można więc powiedzieć, że Małopolska Wschodnia została potraktowana po macoszemu (z braku materiałów?)

Podobnie skromnie ilościowo przedstawiają się relacje i pamiętniki ze Lwowa i Stanisławowa (8 tekstów, w tym dr J. Winowskiej). Dobrze więc, że nowa książka Anny Zawadzkiej rekompensuje w jakimś mierze ów niedosyt.

Książka dostępna w księgarniach o profilu naukowym.

Stefan S. Łukowski

 Związek Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego wydał w Oficynie Wydawniczej „W Misji” ks. dr. pptk. **Józefa Zator-Przytockiego** **Pamiętniki z lat 1939–1956**. Otrzymaliśmy następną relację o martyrologii narodu polskiego, spisana przez księdza, pochodzącego z naszych kresów południowo-wschodnich. Poszerza ona wiedzę o tym okresie naszych dziejów, zarysowaną już przez księży J. Anczarskiego, A.F. Studzińskiego, W. Szeltnickiego, W. Urbana, J. Wołczańskiego i wielu innych. Pamiętniki ks. Zatora tym bardziej zasługują na uwagę, że obejmują również powojenne lata represji stalinowskich.



Autor urodził się w 1912 r. w Wicyniu, powiecie złoczowskim. Tam ukończył szkołę powszechną, potem gimnazjum w Złoczowie. W r. 1930 wstąpił na Wydział Prawa UJK, ale wierny swym dawnym marzeniom, przeniósł się do Seminarium Duchownego przy ul. Czarnieckiego. Barwnie opisuje te studia i swoich wychowawców. Po święceniach kapłańskich (1935) pracował w parafiach w Delatynie i przy Kolegacie w Stanisławowie. Tutaj zastała go wojna. Od pierwszych dni okupacji sowieckiej włączył się do pomocy ludziom prześladowanym przez NKWD. Zorganizował wydawanie nowych dokumentów, przygotowywał drogi przerzutowe do Rumunii i na Węgry, udzielał pomocy uchodźcom.

Na kartach pamiętnika znajdujemy szczegółowe opisy ówczesnego życia polskiego społeczeństwa, pierwsze fazy terroru, sfalszowane wybory i ogólną biedę. Działalność księdza nie uszła uwagi NKWD, za zgodą więc abpa Twardowskiego przeszedł zieloną granicę do GG. Osiadł w Krakowie i przyjął pracę kapłana w kościele ss. Wizytek. Brał udział w tajnym nauczaniu. Włączywszy się w pracę konspiracyjną, rozmównicę klasztorną wykorzystywał jako punkt kontaktowy AK. Z polecenia abpa Sapiehy został miano-

wany dziekanem duszpasterstwa Okręgu AK Kraków. Odwiedzał oddziały partyzanczkie, utrzymywał przez cały czas kontakty z przybywającymi do Krakowa działaczami konspiracji z terenów wschodnich. Dzięki ks. Machayowi, wtedy proboszczowi na Zwierzyńcu, uzyskał wgląd do ksiąg metrykalnych, wystawiając metryki na nazwiska ludzi zmarłych. Przez kurierów były one przesyłane do Lwowa i dzięki nim wielu ludzi stamtąd uratowało się przed wywiezieniem na Sybir, starając się o „powrót do stron ojczystych”.

Po 18 stycznia 1945 ks. Zator wraz z komendantem Okręgu i szefem sztabu AK stanowili trójkę likwidacyjną ogromnej machiny konspiracji AK. Sytuacja pogarszała się, władze atakowały i oczerniały Armię Krajową, nastąpiły aresztowania. Dezorientacja objęła nawet najwyższe sfery kościelne i cywilne. Zagrożony przez NKWD, ks. Zator uciekł do Katowic, potem do Gdańska. Urzędujący tam jeszcze bp Splett mianował go proboszczem parafii we Wrzeszczu. Ks. Zator podjął odbudowę zniszczeń, a równocześnie sfinalizował swój doktorat na uniwersytecie toruńskim. Został jednak w 1948 r. aresztowany.

Był torturowany i skazany na lat osiem, więziony we Wronkach. W swym pamiętniku opisuje ks. Zator szczegółowo metody śledztwa SB, które doprowadziły go do kalectwa. Wymienia wielu znanych ludzi, którzy też byli więzieni – we wstępie do książki napisano: *Na kartach pamiętników odnajdujemy nazwiska elity naszego społeczeństwa – więźniów politycznych PRL*.

Po wyjściu z więzienia nadal był szykanowany, w końcu jednak (po październiku '56) uniewinniony, został proboszczem bazyliki NPM w Gdańsku. W latach 70. rozpoczął spisywanie wspomnień, a po utracie wzroku – ich dyktowanie.

Pamiętnik ks. Zatora jest poważnym dokumentem historycznym, opisującym jedynie to, co autor sam przeżył, a jako że brał udział w działaniach o znaczeniu historycznym i współpracował z ludźmi, liczącymi się w historii najnowszej, jego wartość jest bardzo wysoka. Trzeba tylko żałować, że został dość niedbale zredagowany. Gdyby przygotowywano następne wydanie (zresztą trzecie, bo pierwsze było w 1987 r., przez Inicjatywę Wydawniczą

„Aspekt” we Wrocławiu), należałoby uporządkować i logicznie ponumerować rozdziały, uzupełnić aparat naukowy, sporządzić indeks nazwisk oraz krótkie bodaj biogramy wspomnianych działaczy. W słowie wstępnym R. Kmiecika użyto dwukrotnie nazwy SS *Hałczyna*, podczas gdy powinno być SS *Hałyczyna*. Nazwa ta stanowi ukraińską wersję nazwy powołanej przez Niemców w 1943 r. 14 SS Schuetzen Division Galizien, w skrócie SS *Galizien*.

Książka do nabycia w księgarniach naukowych oraz w wydawnictwie.

Konrad Sura

Jest co czytać (11)

Prawda nade wszystko

W piśmie naszym ostatnio parokrotnie przytaczaliśmy niedoważone i niegodne wypowiedzi niektórych gorliwych publicystów (także z Krakowa, a jakże), usiłujących – w imię czego? – pomniejszyć, albo nawet pominąć bezmiar zbrodni, dokonanych przez ukraińskich nacjonalistów na polskiej ludności Wołynia i wschodniej Małopolski w czasie II wojny światowej i krótko po niej. Rzeź Polaków, która ze szczególnym natężeniem w latach 1943–45 obejmowała całe wsie polskie i polskie rodziny, zamieszkujące wsie mieszane, miała charakter – nigdy nie było co do tego wątpliwości – zaplanowanej czystki etnicznej. Jest rzeczą charakterystyczną, że pojęcie *czystki etnicznej* rozpowszechniło się dopiero w latach powojennych, gdy podobne rzezie zaczęły mieć miejsce w okresie – w zasadzie – ogólnego pokoju, a więc lepiej widoczne na tle względnej ciszy. Tamte wydarzenia, które na naszych ziemiach wschodnich pochłonęły nie mniej ofiar niż niedawne w Bośni lub Afryce, a ostatnio w Kosowie, i nie mniej od tamtych okrutne – nie mogły zrobić na świecie większego wrażenia, gdy toczyła się największa z wojen ludzkości.

Co usprawiedliwia zapomnianie o rzeziach na południowo-wschodnich obszarach naszego kraju, nawet gdy aktualna polityka nakazuje utrzymanie dobrosąsiedz-

NA RUBIEŻY

CZASOPISMO HISTORYCZNO-PUBLICYSTYCZNE

ISSN 1230-4387



kich stosunków z państwem Ukraina, podobnie jak z Niemcami czy Rosją? Nikt przecież nie proponuje, by zacierać ślady obozów koncentracyjnych i innych zbrodni hitlerowskich, a zbrodnie stalinowskie – Katyń czy deportacje – są dopiero w ostatnich latach sprawiedliwie nagłaśniane.

Bezprzykładne w swej bezduszości wypowiedzi wspomnianych publicystów są tym bardziej niezrozumiałe, że na temat rzezi ukraińskich narosła już niemała literatura dokumentacyjna. A więc ignorancja? Niekompetencja, jak niestety w wielu innych dziedzinach?

Od szeregu lat ukazują się liczne książki wspomnieniowe z tamtego obszaru i tamtego czasu – rejestrujemy je, w miarę możliwości, także w naszym kwartalniku. Piszą je ocaleli świadkowie rzezi, w tym księża, mający szersze rozeznanie z terenu swoich i sąsiednich parafii. Pisali wreszcie, i nadal piszą, profesjonalni historycy, choć jest ich jeszcze za mało.

Ową więc lukę pożytecznie wypełnia czasopismo, ukazujące się od 1992 r. we Wrocławiu: **Na Rubieży**, a wydawane przez Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów. Jest og-

romną zasługą zespołu redakcyjnego, któremu przewodzi Szczepan Siekierka (rodem z Podhajec), zbieranie i publikowanie dokumentacji krwawych wydarzeń z obszaru, na którym działały zorganizowane bandy ukraińskie. Poza województwami wołyńskim, tarnopolskim, stanisławowskim i lwowskim, ich akcje obejmowały południową część województwa poleskiego oraz wschodnie części lubelskiego i dzisiejszego rzeszowskiego (wtedy w lwowskim).

Kwartalnik nosi podtytuł: *Czasopismo historyczno-publicystyczne*. W jego więc części historyczno-źródłowej zamieszcza się wspomnianą wyżej obiektywną dokumentację: opisy wydarzeń, relacje świadków, dane liczbowe, wykazy nazwisk pomordowanych, mapki i fotografie. Przykładowo, w nrze 40 opisywane są powiaty: sanocki, krzemieniecki, leski (już odcinek 5!) i mościski. We wcześniejszych numerach omawiano przeważnie miejscowości i powiaty położone dalej na wschód.

Część publicystyczna obejmuje artykuły i komunikaty. Mielibyśmy niejakię zastrzeżenia do tych pierwszych. W niektórych artykułach zauważa się miejscami dość emocjonalne (skądinąd zrozumiałe) podejście do faktów, czy to historycznych, czy całkiem współczesnych (a powodów do denerwowania się jest dziś niemało). Sądzimy jednak, że wartość takiego pisma jak *Na Rubieży* powinna polegać – poza obiektywnym rejestrowaniem wydarzeń – na chłodnym ich analizowaniu i beznamietnym komentowaniu.

Dobrze, że pismo dociera do wszystkich ważniejszych bibliotek krajowych, paru zagranicznych i sporej liczby zainteresowanych czytelników.

Elżbieta Mokrzyska

Wertując wydawnictwa

⇒ W związku z majowymi wydarzeniami wokół Cmentarza Obrońców Lwowa ukazały się w krakowskim „Dzienniku Polskim” dwie wypowiedzi, pochodzące ze środowisk niezależnych. Pierwsza (nr 109 z 12 V) to list Porozumienia Organizacji Kombatanckich

i Niepodległościowych, pt. *Skandal w kwaterze Orłąt*, podpisany przez dra J. Bukowskiego, rzecznika POKiN. Druga wypowiedź – Oddziału Krakowskiego TMLiKPW pt. **Czy tylko ten jeden skandal?** (nr 119 z 24 V) – nawiązuje do tej pierwszej. Oto skrócona treść listu:

... Jego [Bukowskiego] wypowiedź porusza bolesną i niezrozumiałą sprawę braku albo bardzo słabej reakcji polskich władz na powtarzające się wybryki administracji ukraińskiej we Lwowie, w kwestii m.in. odbudowy Cmentarza Orłąt, niezgodne z obustronnymi uzgodnieniami, a nawet stanowiskiem centralnych władz Ukrainy w Kijowie. To, co dzieje się od pewnego czasu we Lwowie – nasza prasa pisze wszak o antypolskich napisach i plakatach, o bezczeszczeniu grobów polskich (wojskowych i cywilnych), o nieprzyjaznym stosunku do Polaków tam żyjących (a o wielu innych jeszcze sprawach nie pisze) – pozostaje w dość drastycznym kontraście do przyjaznych gestów strony polskiej – tak wobec państwa ukraińskiego, jak i Ukraińców w Polsce – oraz uprawianego przez niektóre środowiska polskie poniżania naszej narodowej godności.

Rozumiemy dobrze potrzebę i popieramy politykę budowania poprawnych stosunków, pamiętajmy jednak, że zbyt daleko idąca ustepliwość bywa rozumiana jako nasza słabość, wywołuje lekceważenie i poczucie bezkarności. Widać to gołym okiem.

Czy tak powinna wyglądać polityka szanującego się państwa?

⇒ Przed rokiem (CL S/98) pisaliśmy na tych łamach o niezbyt obiektywnym potraktowaniu przez historyka A. Garlickiego obrońcy Lwowa i Małopolski Wschodniej pod koniec II wojny światowej (1918-20). I oto w „Naszej Polsce” nr 15/99 znajdujemy omówienie najnowszego dzieła tegoż profesora – podręcznika historii, zatwierdzonego przez MEN. Z obszernego tekstu wyławiamy te fragmenty, które nas szczególnie interesują, a które systematycznie **pomniejszają rozmiary polskich ofiar w czasie II wojny**, eksponując natomiast krzywdy żydowskie, niemieckie, ukraińskie, doznane także ze strony Polaków.

Autor wnikliwego artykułu pt. *Podręcznik łgarstw i przemilczeń*, Jerzy Robert

Nowak, zauważa, że Garlicki zaniża liczbę osób deportowanych do ZSRR, podając 400 tys. osób, w tym 260 tys. Polaków i 80 tys. Żydów. Tymczasem wiadomo, że deportacje Polaków objęły więcej niż 2 miliony osób, w tym 1 milion 114 tys. stałych mieszkańców zajętych Ziemi Wschodnich, 336 tys. uciekinierów z Polski centralnej i zachodniej, oraz ponad 600 tys. aresztowanych, internowanych, skierowanych do prac przymusowych i jeńców (nieważne, ilu było w tym Żydów – wszyscy byli jednak obywatelami Polski. Rasowy podział nie wydaje się potrzebny).

Nie pisze Garlicki o ogromie polskich ofiar w czasie rzezi ukraińskich na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej (poświęca tej sprawie jedno zdanie *przy okazji* omawiania polskich represji wobec Ukraińców w 1945 r.).

Garlicki milczy na temat przymusowych wysiedleń Polaków z terenów włączonych do sowieckiej republiki ukraińskiej po II wojnie (nie chodzi o tzw. *repatriację*), natomiast całe dwie strony poświęca opisom *brutalnych działań Polaków* wobec Ukraińców w 1945 r.: wysiedleniom i przesiedleniom, akcji „Wisła”, internowaniu 4 tys. Ukraińców w Jaworznie.

Sielankowo przedstawia Garlicki stosunki na uczelniach lwowskich za pierwszej okupacji sowieckiej (zapominając, że udział polskich studentów spadł z 70 do 3%). Publikowania w „Czerwonym Sztandarze”, wydawanym przez sowieckich okupantów, nie uważa za postępowanie niegodne. Ani słowa o zamykaniu bibliotek polskich, kościołów i klasztorów i rabunku zbiorów. Ani słowa o antypolskiej propagandzie, prowadzonej w szkołach i zakładach pracy.

Oдноśne zafałszowania i przemilczenia konfrontuje autor artykułu z opracowaniami innych historyków, m.in. Anny Radziwiłł i Wojciecha Roszkowskiego *Historia 1945–1990* (Warszawa 1994), oraz danymi Głównego Urzędu Statystycznego: *Historia Polski w liczbach* (Warszawa 1994).

⇒ Czerwiec roku 1941 – *Wobec zbliżającego się gwałtownie frontu i braku czasu oraz transportu na wywóz w głąb kraju, NKWD rozstrzeliwało przed ewakuacją zarówno skazanych na ciężkie kary, jak również wszystkich chorych i słabych fi-*

zycznie. **Najwięcej ofiar było w więzieniach lwowskich (7–8 tys.).** Dalszych zbrodni dokonywano w czasie ewakuacji, kiedy wielotysięczne nieraz kolumny więźniów pędzono pieszo setki kilometrów. Mordowano nie tylko próbujących uciekać, ale również każdego, kto – tracąc siły – padał lub nie nadążał za kolumną. Była to Droga Krzyżowa narodów II Rzeczypospolitej. Najkoszmarniejsze sceny rozgrywały się na drodze ewakuacji z Wilejki do Borysowa oraz na szlaku z Mińska do Iłumienia. Strzelano tu do kolumn jeńców z karabinów maszynowych.

Jest to fragment artykułu Andrzeja L. Szczęśniaka *W otchłaniach Sybiru*, „Nasza Polska” nr 15/99.

⇒ Kochany „Przekrój” bardzo godnie zaznaczył 60. rocznicę III Obrony Lwowa we wrześniu 1939 r.: w numerze 38/99 zamieszczono kalendarium przygotowane przez red. Andrzeja Kowalczyka pt. **Dni chwały Lwo-**

wa, okładkę zaś tego numeru zdobi panorama centrum Lwowa (fotografia lotnicza).

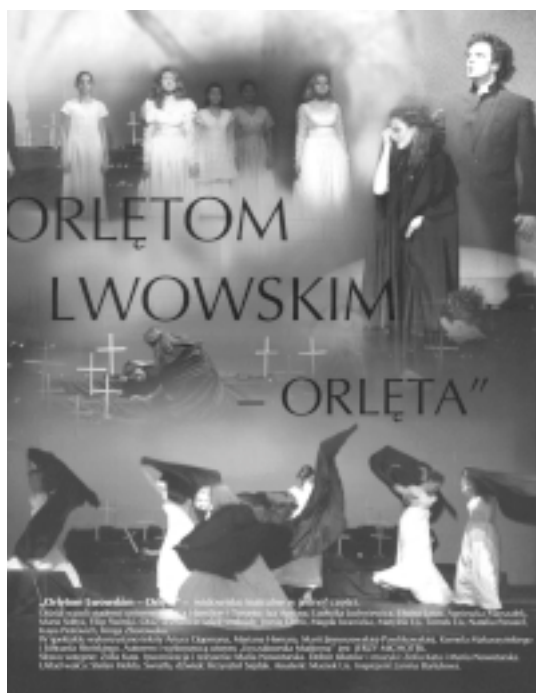
Autor opisuje dzień po dniu cały okres między 1 a 22 IX: od bombardowania już w pierwszym dniu wojny, po tragiczne w skutkach (do dziś!) wkroczenie Sowietów do miasta. Czytelnik dowiaduje się o nastrojach we Lwowie oraz o wojskowych i obywatelskich przygotowaniach do obrony, a potem o samych działaniach wojennych, przerzutowanych na tło ogólnej sytuacji militarnej w całym kraju. I wreszcie ów dzień 17 września – dowódca obrony miasta, gen. Langner, potraktował zrazu wiadomość o wkroczeniu wojsk bolszewickich jako złośliwy kawał. Po 5 dniach następuje tragiczny koniec obrony: niemieccy agresorzy wycofują się, a wyzwoliciele zajmują miasto.

Co było potem, dobrze pamiętamy, a co jest – widzimy.

⇒ Od p. Z. Malika, prezesa krakowskiego klubu Związku Kadetów II RP (jego artykuł o lwowskim Korpusie Kadetów możemy przeczytać w tym numerze), a zarazem honorowego wiceprzewodniczącego Komitetu Opieki nad Kopcem J. Piłsudskiego na krakowskim Sowińcu, dostaliśmy nr 14/99 czasopisma wydawanego przez ten Komitet, pt. **Sowiniec. Materiały historyczne**. Dużo tam ciekawych artykułów o tematyce związanej głównie z I i II wojną, nie brak także *leopolitanów*. Cały numer jest dedykowany o. Adamowi Studzińskiemu, zamieszczono też na wstępie wkładkę Jemu poświęconą. Kazimierz Międzobrodzki (członek Koła Stanisławowian przy TMLiKPW w Krakowie) opisuje *Drugą* obronę Lwowa*, Julian Piotrowski (ur. w Mariampolu 1920, wychowany w Stanisławowie) pisze *Urywki wspomnień kombatanta*, a Zenon Malik *Skróty opis przejść wojennych*. Wreszcie trzy wiersze i autoportret Rydza-Śmigłego (jak pamiętamy – rodem z Brzeżan). Pokazano też zdjęcie z odsłonięcia tablicy upamiętniającej wymarsz ochotników z Krakowa na odsiecz Lwowa w 1918 r. – na gmachu dawnych koszar przy ul. Rajskiej.

* Obronę Lwowa w 1939 r. przyjęło się określać jako *trzecią* (a nie drugą, jak pisze dr Międzobrodzki) – po pierwszej w 1918 r. i drugiej w 1920. Tak też napisaliśmy w poprzedniej notatce.





Program imprezy w Kanadzie

⇒ Miło było przeczytać w miesięczniku „Życie Muzyczne” nr 3–4/99 (Warszawa) artykuł *Fenomen kanadyjskich Orłąt. Od-budujemy Cmentarz Orłąt*. Autorka, Zofia Kata, relacjonuje niecodzienne widowisko teatralne, jakie dali uczniowie polskich szkół średnich i polska młodzież akademicka z Hamilton i Toronto, pod fachowym kierunkiem Marii Nowotarskiej, pt. *Orleńtom lwowskim – Orleća*. Imprezę poświęcono pamięci Dzieci Lwowa.

Autorka pełnymi żarliwościami słowami opowiada o małych bohaterach, o tej najpiękniejszej nekropolii i jej dramacie, a także o wielkim oddaniu, jakie towarzyszyło przygotowaniu imprezy.

Dowiadujemy się, że już od 1995 r. **trwa w Kanadzie akcja zbierania funduszy na Cmentarz Obrońców Lwowa**, a włączają się do niej tamtejsze polskie instytucje kulturalne, a także PLL LOT. Zebrane fundusze są przekazywane na konto Fundacji „Semper Fidelis”, ze wskazaniem na odbudowę Cmentarza Orłąt.

⇒ Także miesięcznik „Poznaj Świat” sprawił nam przyjemność, dołączając do nru

1/99 **plan Lwowa** w dwóch wersjach: przedwojennej i obecnej. Pierwszy, to kopia planu z r.1932, opracowanego przez Instytut Kartograficzny im. E. Romera, a wydany przez „Książnicę Atlas” Właściwy plan uzupełnia ją trzy planiki, ilustrujące rozwój historyczny miasta: z końca XIV w. (Lwów kazimierzowski), z poł. XVIII w. i z poł. XIX w.

Do planów (wydrukowanych na jednym dużym arkuszu) dołączono bardzo dobrze napisany tekst, opracowany przez Adama Bajcara. Autor przypomina, że Eugeniusz Romer, profesor UJK od 1911 r., stworzył we Lwowie podwaliny pod rozwój polskiej kartografii na poziomie światowym (o prof. Romerze pisaliśmy w CL 3/97). Sporządzony przezeń plan Lwowa z 1931 r. był spośród wszystkich planów miast, wydanych przed wojną, niewątpliwie najlepszy (omawiany plan z 1932 r. jest jego wersją uproszczoną).

W tym samym numerze PŚ ten sam A. Bajcar pisze o dwóch polsko--ukraińskich spotkaniach we Lwowie: na temat roli turystyki w *procesie zbliżenia narodów* (X 1998) oraz w sprawie dziedzictwa kulturowego – o tym pisał już na naszych łamach R. Quirini-Popławski (nr 2/99). Oba spotkania odbyły się w pałacu Sapiechów przy ul. Kopernika.

⇒ Z prasy krakowskiej („Dziennik Polski” 90/99) dowiedzieliśmy się, że na cmentarzu Rakowickim (od strony ul. 29 Listopada) stanie niebawem **pomnik żołnierzy i cywilów narodowości ukraińskiej**, zmarłych w latach 1918–21 w obozie jeńnickim na Dąbiu. Pomnik będzie miał formę dwumetrowej wysokości kurhanu, na nim stanie zaś kamienny krzyż podobnej wysokości (podobne rozwiązania skądś znamy). Budowę pomnika finansuje w całości strona polska (!). Stanisław Handzlik, przewodniczący Rady Miasta Krakowa, powiedział, że *ten pomnik ma być gestem pojednania. Być może dzięki niemu zmieni się stanowisko Ukraińców wobec Cmentarza Łyczakowskiego* (chodzi zapewne o Cmentarz Orłąt). No cóż, właśnie widzimy.

Antypody

⇒ Czytelnicy zauważyli zapewne, że ostatnio w każdym prawie numerze CL przytaczamy informacje o sytuacji na styku polsko-niemieckim w kwestii ziem zachodnich, zarówno na terenie tych ziem, jak i w sferze aktywności ideowo-politycznej. Sprawy te nie mogą nas nie interesować, choćby z tego powodu (ale nie tylko), że na tamtych ziemiach osiadła część ludności polskiej, już raz wygnanej ze swojej *małej ojczyzny* na wschodzie. Wiadomościom na takie właśnie tematy, czerpane z prasy i czasopism, będziemy nadawać tytuł *Antypody*, rozumiejąc to słowo dwójako: jako „antypody” geograficzne – bo z drugiego krańca ziem polskich (w stosunku do interesujących nas ziem wschodnich), oraz jako przeciwieństwo w stylu traktowania podobnej w istocie problematyki (nie podejmujemy się osądzać, który jest właściwszy. Pokaże historia...).

Oto informacja zaczerpnięta z „Wprost” 18/99 i „Polityki” 18/99: W gminie Bierawa na Opolszczyźnie rządy sprawuje mniejszość niemiecka. Władza ta postanowiła zlikwidować trzy szkoły, w tym jedną (w Kottlarni), gdzie język polski jako ojczysty nie został jeszcze zamieniony na niemiecki (!). Polacy obawiają się, że niebawem język niemiecki zostanie potraktowany jako urzędowy, a Polacy – jako mniejszość.

W kwestii podwójnego nazewnictwa miejscowości rozważa się obecnie, czy na tablicach mają się pojawić nazwy niemieckie sprzed 1933 r., czy nowsze – z czasów hitlerowskich. Zapewniono wprawdzie, że nie wróci nazwa *Hitlersee* (no proszę, szalenie się cieszymy), ale to nie wyczerpuje sprawy, bo do 1933 r. obowiązywało tam wiele nazw prapolskich, zaś za czasów hitlerowskich je gruntownie zmieniono. Np. wspomniana Bierawa (ówcześnie w Niemczech) do r. 1933 nazywała się *Birawa*, a od 1933 *Reigesfeld*.

A co na to władza wyższego szczebla? Wiadomo – nie mają żadnej koncepcji, więc tylko łagodnie perswadują. Przecież nie wiedzą, kto i za co ich kiedyś *stuknie*, po co się więc angażować? *Przyjdzie kometa...* – nie, nie kometa, lecz ustawa o mniejszościach narodowych – ale o tym można przeczytać w rubryce *W Krakowie i dalej*.

Na marginesie: o niektórych nazwach, zmienionych lub zniekształconych w woj. lwowskim, pisaliśmy w CL 2/98 na s. 42.

Stefan Suchaniewicz

UŁAN JAZŁOWIECKI WSPOMINA SWÓJ PUŁK

(dokończenie ze s. 30)

Wobec śmierci papieża Piusa XI w 1939 r., tuż przed wojną, *breve* podpisał dopiero jego następca, Pius XII. Promotorem koronacji mianowany został dominikanin, o. Konstanty Żukiewicz.

W Jazłowcu 9 lipca 1939 r. na dziedzińcu klasztornym odbyła się uroczysta koronacja Matki Boskiej Jazłowieckiej. U stóp posągu ustawili się ułani ze sztandarem i plutonem trębaczy. Obok ołtarza zasiedli honorowi goście, w tym prymas Polski August Hlond, biskup połowy Wojska Polskiego Józef Gawlina, a także biskupi. Rząd reprezentował wojewoda tarnopolski mgr S. Malicki, a wojsko gen. bryg. Juliusz Kleeberg, brat Franciszka. Przed klasztorem zgromadziły się tłumy wiernych z bliższych i dalszych okolic. Uroczystą mszę pontyfikalną celebrował abp B. Twardowski. Kazanie wygłosił prymas Hlond, podkreślając ogromny kult ułanów jazłowieckich ze Lwowa dla Najświętszej Panny Marii. Koronacji statuy prymas dokonał koroną ze szczerego złota, wysadzaną drogimi kamieniami, która w oślepiającym blasku zabłysła na czole Pani Jazłowieckiej. Jest to trzeci wizerunek Matki Boskiej koronowany w Polsce na mocy specjalnego *breve* papieża. Po koronacji płk Godlewski wygłosił akt poświęcenia się jazłowieckiego pułku opiece swej Patronki, królującej z wyżyn klasztoru. Na murze klasztornym odsłonięta została tablica ku czci poległych ułanów: *Ku uczczeniu zwycięstwa odniesionego pod Jazłowcem z pomocą Najświętszej Panny Jazłowieckiej. Cześć Armii Polskiej. 11 VII 1919–1939 [...]*

DRUGA WOJNA

W czasie II wojny pułk jazłowiecki zapisał piękną kartę. Przed samym wybuchem wojny skierowano go w Poznańskie

(w skład armii „Poznań” gen. Kutrzeby). Pierwsze potyczki z Niemcami miały miejsce pod Gnieznem i Łęczycą. Nieco później – w składzie Grupy Operacyjnej Kawalerii gen. Abrahama walczył pod Warszawą – wykonał m.in. brawurową i skuteczną szarżę pod Wólką Węglową – a następnie w Warszawie, na odcinku Czerniaków-Siekiery. Niestety straty były poważne.

28 września – po podpisaniu kapitulacji Warszawy – nastąpiło pożegnanie ułanów jazłowieckich ze Lwowa. Płat sztandaru z postacią MB Jazłowieckiej ukryto w Warszawie, a w latach sześćdziesiątych wywieziono go do Londynu.

W lipcu 1944 r. grupy partyzanckie we Lwowie w ramach Akcji „Burza” miały odtworzyć 14 pułk ułanów Armii Krajowej.

Znane jednak wypadki, jakie zaszły po zajęciu Lwowa przez armię sowiecką, udaremniły to zamierzenie.

W 50. rocznicę koronacji statuy Pani Jazłowieckiej, w czerwcu 1989 r. żyjący ułani 14 Pułku zebrali się na uroczystości u Jej stóp w sanktuarium w Szymanowie.

Dla przypomnienia:

Hasło *Jazłowiec* znalazło się w słowniku geogr.hist. w CL 2/95. O szkole ss. Niepokalanek w Jazłowcu pisaliśmy w CL 3–4/95. Swoje wspomnienia z tej szkoły przekazała B. Czałczyńska w trzech pierwszych numerach CL z 1995 r. Pieśń do NP Jazłowieckiej zamieściliśmy w CL 3–4/95. Pielgrzymkę do sanktuarium Patronki Polskich Wojsk w Szymanowie zrelacjonowaliśmy w CL 5/98.

Defilada ułanów jazłowieckich na ulicy Hetmańskiej we Lwowie



Listy do redakcji

Dr Jerzy Masior (Nowy Sącz) nadesłał list z bardzo ważnymi informacjami, uzupełniającymi notatkę, zawartą w CL 2/99 (s. 51) o obrazach z krynickiego „Lwigrodu”, prosząc o ich opublikowanie. Oto one:

Wśród tych obrazów znajdowało się dość spore *panneau* (lub obraz – olej na płótnie) o wymiarach ok. 3 x 2 m, przedstawiające Obronę Lwowa w listopadzie 1918, pędzla K. Sichulskiego. Obraz został rzekomo zabrany z „Lwigrodu” przez matkę obecnego właściciela, celem jego zachowania i przechowania w domu (złożony w kostkę, stąd liczne ubytki malatury). Obraz trafił w Nowym Sączu do galerii pp. Skowronków przy ul. Długosza, celem renowacji. Rozwieszony, zajmował całą ścianę od sufitu do podłogi. Reprodukcję tego obrazu w druku można znaleźć na s. 158 „Lwowa” Wasylewskiego (wyd. przedwojenne). Natychmiast po obejrzeniu obrazu w galerii pp. Skowronków przekazałem informację do dyrekcji PPU w Krynicy, bowiem „Lwigród” stanowił wówczas ich własność. Owa dyrekcja skierowała sprawę do sądeckiej prokuratury o zwrot obrazu. Prokuratura nie przychyliła się do prośby PPU,

przyznając prawo własności dotychczasowemu właścicielowi na zasadzie przedawnienia (?). Obraz nie konserwowany, gdyż koszt konserwacji okazał się zbyt duży – powrócił do właściciela [...], który nb. chciał go w stanie zachowanym sprzedać. Przekazałem informację o tym do Muzeum Historycznego we Wrocławiu (Arsenał – zbiory lwowskie), do Muzeum WP w Warszawie, jednakże nikt nie wyraził chęci zakupu. Na tym sprawa stała. Rzecz działa się przed bodajże pięcioma laty (gdzie jest obraz obecnie, nie wiem, może u właściciela). O całej tej sprawie informuję, bowiem uważam, że obraz jest najcenniejszy w całej kolekcji „Lwigrodu”, a moja notatka być może *natchnie* kogoś, by obraz ponownie pozyskać, sfinansować konserwację oraz umieścić w stosownej galerii.

Tyle dr Masior. My natomiast poddajemy sugestii, by sprawą zajęła się Kolekcja Leopoldis przy Muzeum Niepodległości w Warszawie. Obraz trzeba odnaleźć i ratować, także ze względu na osobę wybitnego malarza.

Obraz reprodukuje z książki Wasylewskiego. Zauważmy, że Sichulski nawiązał tu do tradycji przedstawiania obron Lwowa, z postacią św. Jana z Dukli, unoszącą się nad polem bitwy (patrz CL S/98, s. 14).

Niezwykle ciekawy list nadesłał p. Edward W. Hermach, zamieszkały w Jasienicy, ale były mieszkaniec ul. Gródeckiej we Lwowie, zesłaniec i Sybirak. List cytujemy z pewnymi skrótami:



Nawiązując do Waszego ciekawego i bardzo poczytnego kwartalnika „Cracovia-Leopolis”, który abonuję od pierwszego numeru i którego jestem stałym czytelnikiem od przysłówiowej „deski do deski”, pragnę przekazać Redakcji garść informacji dotyczących rodziny hr. Bielskich, a szczególnie ich losów zesłańczych. Do napisania listu zmobilizował mnie artykuł z ostatniego zeszytu [CL 3/99] pt. *Pamiętam tamten pałac* autorstwa A. Miłaszewskiego, który zawiera pewną nieścisłość, dotyczącą miejsca ostatniego spoczynku hr. J. Bielskiego.

Otóż miejscowość Usz-Tobe, co w języku kazachskim znaczy *Jeden Pagórek*, znajduje się w obwodzie ałma-atyńskim, a nie semipałatyńskim. W tym miejscu pragnę przytoczyć fragment wspomnień ks. Tadeusza Fedorowicza zawarty w książce wydanej przez „Norbertinum” w 1998 r. pt. *Drogi Opatrzności*. Na s. 60–61 zawarta jest następująca informacja – cytuję dosłownie: *Dojechaliśmy do Usz-Tobe wieczorem. Wiedziałem że w Usz-Tobe są Polacy i że przebywa tam p. Hanka Załęska ze Lwowa, z domu Puzynianka, którą znałem. Wsiadłem na stacji z pociągu, znalazłem jakiegoś chłopaczka z saneczkami, załadowałem na sanki swoje bagaże i poprosiłem, żeby zawiózł mnie gdzieś do Polaków. Wkrótce zapadł zmierzch, ale przy białym śniegu było dosyć widno. Po pewnym czasie chłopak zatrzymał się i pokazał mi jakąś chatę oddaloną ze 100 m od drogi. Ot, tam są Polacy, powiedział. Z chaty wyszła jakaś postać kobieca. Zawołałem do niej, gdzie mieszka p. Załęska? W tej chwili usłyszałem: czy to ks. Fedorowicz? To była właśnie ona. Z wielką radością pośpieszyłem ku chacie. Mieszkały tam we trzy. Oprócz p. Załęskiej p. Juliuszowa Bielska ze Lwowa, którą znałem, i p. pułkownikowa Malinowska. Pan Bielski już umarł, żona pochowała go w stepie, gdzie pasł wielbłądy. I dalej na str. 71 pisze: W Usz-Tobe poszedłem z p. Bielską w step na grób jej męża Juliusza Bielskiego. Ona włożyła do grobu flaszkę z papierem, na którym napisała, kto tam leży. Może kiedyś jacyś archeologowie dokończą się do tego.*

Autor artykułu przytacza również, jak to określił, *złośliwą wypowiedź Aleksandra*

Wata w Moim wieku na temat rodziny Bielskich. Pozwolę sobie przytoczyć fragment wspomnień Oli Watowej w książce wydanej przez „Czytelnika” w 1990 r. pt. *Wszystko co najważniejsze* [Autor listu cytuje informacje Watowej podobne do tych, które zamieścił w swojej książce jej mąż, Aleksander Wat. *Zainteresowani Czytelnicy mogą je łatwo znaleźć – przyp. red.*].

W książce pt. *Jak pisklęta z gniazd* autorstwa D. Boćkowskiego, wydanej przez Bibliotekę Zesłańca we Wrocławiu, we fragmencie wspomnień p. Aleksandry Jakubiak z domu Wasilewskiej, na s. 292 autorka opisując losy sierocińca dla dzieci polskich w miejscowości Usz-Tobe, zorganizowanego z inicjatywy jej matki Malwiny Wasilewskiej, podaje, że honorową opiekunką była autentyczna hrabina, p. Bielska. Posiadam zdjęcie grupy dzieci z opiekunkami, na którym prawdopodobnie figuruje p. hr. Bielska.

W Zeszytach Historycznych wydanych przez Komisję Historyczną ZG Związku Sybiraków nr 5, na s. 214–215 znajdują się publikacje niektórych listów i dokumentów, mówiących o losach Polaków na *nieludzkiej ziemi*, m.in. list generałowej Marii Fabryowej, napisany w Usz-Tobe z datą 2 IX 1942 i adresowany do Biura Opieki nad Rodzinami Wojskowymi przy Sztabie Polskiej Armii w ZSRR w Jangi-Jul, z następującą adnotacją: *Podpisani proszą jako głowy rodzin wojskowych, o łaskawe przysłanie przez kurierów dokumentów na wyjazd. Nadmieniam, że podpisani zlikwidowali wobec przeprowadzanej ewakuacji wszystkie swoje sprawy i są gotowi do drogi. Uprasza się o odpowiedź na ręce p. generałowej Fabryowej, zamieszkałej w Usz-Tobe przy Morozowa 15, i dalej następuje spis 23 rodzin wojskowych. Na poz. 11 figuruje nazwisko hr. Bielskiej Eleonory, jako matki por. rezerwy, z jej własnoręcznym podpisem.*

Przedstawiony list znajdował się wśród innych dokumentów w Archiwum Instytutu Hoovera Stanford w Kaliforni i został otwarty dopiero między 15.VIII i 10.IX.1989 r.

Na zakończenie pragnę dodać, że moje losy zesłańcze były ściśle powiązane z osobami wyżej wymienionymi. Prawdopodobnie na zesłanie jechaliśmy jednym transportem i byliśmy rozładowani w miejsco-

wości Żangis-Tobe w semipałatyńskiej
obłasti, skąd dalej byliśmy rozwożeni do
różnych miejsc osiedlenia.

*Bardzo dziękujemy Panu Edwardowi
za te informacje, które dotyczą wszak nie
tylko rodziny Bielskich, ale dramatu Pola-
ków na „niehumanicznej ziemi” w ogóle.*

*Na koniec – taki sympatyczny ustęp
znalazł się w liście od prof. Andrzeja Ża-*

*kiego ze Szwajcarii (nie do nas adresowa-
nym. Dziękujemy za udostępnienie!):*

[...] dziękuję pięknie za pamięć i nowy
zeszyt CL, obfitujący – jak zwykle – w cie-
kawę i mądre artykuły, komunikaty i ko-
mentarze (wyczuwa się w nich dobre ręce
redaktorskie). Nader instruktywna jest rów-
nież wkładka z okazji X-lecia Oddziału To-
warzystwa wraz ze składem kolejnych za-
rządów. Gratuluję! [...]

Niniejszy numer CRACOVIA–LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej
Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa
w Warszawie.

Redakcja składa podziękowanie w imieniu własnym i Czytelników

W następnym numerze:
o polskiej inteligencji twórczej
i polskich placówkach kulturalnych Lwowa
doby współczesnej
piszą tamtejsi artyści, naukowcy i działacze kultury

Na I stronie okładki: Jedna z tablic przy Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie

Czasopismo Oddziału Krakowskiego
Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chłipalski (redaktor naczelny), Barbara Kościć, Janusz M. Paluch

Opracowanie graficzne: Bohdan Prądkowski. Skład: FALL-Studio, Kraków

Rada Redakcyjna: Andrzej Chłipalski, Barbara Czałczyńska, Barbara Kościć, Romana Machowska,
Andrzej Olszewski, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Irena Suchanek, Maria Taszycka, Marta
Walczewska, Jacek Walczewski

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania skrótów. Artykułów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Druk: Poligrafia Kurii Prowincjalnej Zakonu Pijarów, 31-015 Kraków, ul. Pijarska 2

O ILE POWIEKSZYMY I ULEPSZYMY DU-
SZE NASZE, O TYLE POLEPSZYMY PRA-
WA NASZE I POWIEKSZYMY GRANCE.

KATECHIZM KADETA POLSKIEGO

1. Nie będziesz mirował, jeżeli własnego i swego swoich osobistych wiesz, że: "Luz-
na twój" - "Polska".
2. Za słabą bezsensowną ciutę, jeżeli słyszysz, niepełną go i chroń jego osobistość.
3. Pamiętaj o wielkiej przeszłości Narodu Polskiego i świąt miłości narodowej świąt.
4. Cud! wierność braterską w blizko-
tym Państwie i przychodźcie ma z pomocą.
5. Umieć! powołać i wiarę nieudaną
w przyszłość i wielkość Narodu Polskiego.
6. Nie uczuś! duchowi narodowemu,
mentem obce okazywać, obce mowę i obce
pójść.
7. Nie kreść! duma narodowa, wy-
jąć z niego osobników - obce imię, osobist
człowieka z niepokojem i obcych.
8. Nie gwałć i nie zaprawiaj! alebądź
szkodliwych czynieniem niepokojem i
pracy narodowych.
9. Nie pociągaj! materialnej ani materialnej
krzywdy kadeta swego.
10. Nie bierz! swobodę zwłaznia, ani
wprawdzać niegodny w życie narodu.

KORPUS KADETÓW Nr. 1.
MARSZAŁKA J. PIŁSUDSKIEGO
WE LWOWIE.

Rok szkolny 1918/19. Nr. 26.



LEGITYMACJA OSOBISTA

Imię *Tadeusz*

Nazwisko *Orkisz*

JEST KADETEM

Ważna do dnia 15. lipca 1919 r.

Lwów, dnia 15/10/1918.

(Pieczęć)

Komendant
Korpusu Kadetów Nr. 1.



Podpis właściciela legitymacji.

Orkisz Tadeusz

Przedłużam ważność legitymacji
do dnia 15-go lipca 1940 roku.

KORPUS KADETÓW Nr. 1.
MARSZAŁKA J. PIŁSUDSKIEGO
5. KOMPANIA

Przedłużam ważność legitymacji
do dnia 15-go lipca 193 roku.

Podpis przełożonego:

Przedłużam ważność legitymacji
do dnia 15-go lipca 193 roku.

Podpis przełożonego:

Przedłużam ważność legitymacji
do dnia 15-go lipca 193 roku.

Podpis przełożonego:

Spis treści

Słowo od Redakcji
DLA PAMIĘCI

Jan. W. Wingralek
WSPOMINAM DYREKTORA
BOBROWSKIEGO

30

Barbara Czałczyńska
FELIETON O WOJNIE

Słownik

BIEŁOSKO ♦ HOŁOSKI WIELKIE I MAŁE ♦
KASTELÓWKA ♦ KLEPARÓW ♦ LWÓW
(rozwój i ustrój) ♦ PERSENKÓWKA ♦
SNOPKÓW ♦ ZAMARSTYNÓW ♦
ZBOISKA ♦ ŻELAZNA WODA

33

Klemens Rudnicki
NA POLSKIM SZLAKU

Władysław Psarski
O CHRUSZCZOWIE I ŻŁOTEJ
PAPIEROŚNICY

Sylwetki

Antoni Grochal
PREZYDENT KRAKOWA W 1939 ROKU

32

Rozmowy
Janusz M. Paluch
ROZMOWA Z O. PUŁKOWNIKIEM
ADAMEM STUDZIŃSKIM

CZTERECH Z KAMIONKI

32

Poezja
Marian Hemar
LIŚĆ

Z tamtej strony
W SPRAWIE ORLĄT

34

Proza
Ewa Lempart
PRZYSZLI PO NAS

W Krakowie i dalej
Emilia Fedyk
U MATKI BOSKIEJ ŻÓŁKIEWSKIEJ

35

Wanda Komornicka
W MIEŚCIE, NA WSI, W WIĘZIENIU

NOTATKI

38

Naszym zdaniem
Stefan Sochaniewicz
CUD NAD WISŁĄ I ZADWÓRZE

Kultura ♦ Nauka
KRONIKA

40

Zenon Malik
KADECI II RZECZYPOSPOLITEJ

Archiwum
OSTATNI ROZKAZ

41

Archiwum
TRZY POŻEGNANIA

Książki ♦ Czasopisma
Stefan S. Łukowski, Konrad Sura
NOWE KSIĄŻKI

42

Aleksander Marczyński
UŁAN JAZŁOWIECKI WSPOMINA
SWÓJ PUŁK

Elżbieta Mokrzyska
PRAWDA NADE WSZYSTKO

51

Stefan Sochaniewicz
WERTUJĄC WYDAWNICTWA

52

Listy

58